MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 36 WARSZAWA 27 SIERPNIA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

MANIAKI

LAT temu kilka Polska Akademia Umiejętności — na wniosek prof. Ignacego Chrzanowskiego — przyznała prof. d-rowi Michałowi Janikowi zaszczytną nagrodę za pracę o Polakach na Syberii. Człowiek, którego tak zaszczytnie wyróżnia najwyższa polska instytucja naukowa, musi posiadać duże zdolności.

Taki zaszczyt obowiązuje.

Gdyby dr. Janik życie swoje poświęcił nauce i tylko nauce, byłby zapewne doszedł do poważnych rezultatów.

Niestety, dr. Janik zajmował się również wiele — polityką. Ta działalność napoiła go po brzegi goryczą. Dziękując za nagrodę Akademii na ręce prof. Kutrzeby, dr. Janik sam swój nastrój określił w ten sposób: „Życie tak mnie dotychczas biło i przynosiło tyle niezasłużonych przykrości, że jestem prawdziwie zaskoczony tą zaszczytną niespodzianką. Lękam się, że za ten niespodziewany uśmiech losu nawiedzi mnie niezadługo jakaś nowa udręka".

W jesieni 1938 r. dr. Janik ukończył, a przed paru tygodniami wydrukował dzieje swojego żywota pod niebylejakim tytułem „O wolność i władztwo ducha". Stron ponad 320. Książka ta stanie się dla jej autora źródłem przykrości—sądzę, że—przeważnie zasłużonych.

Dr. Michał Janik był przez całe swoje życie wrogiem obozu narodowego, wrogiem — jak stale pisze — endecji. Sprzągł się we Lwowie, gdzie był profesorem gimnazjalnym i radnym miasta, z obozem t. zw. demokracji postępowej. Do grona najbliższych mu osób i współpracowników należeli wtedy — pisze dr. Janik na str. 22 — Hipolit Śliwiński, Bronisław Laskownicki, Szczepan Mikołajski, dr. Tadeusz Dwernicki, dyr. Michał Lityński, dr. Tobiasz Aschkenaze, dr. Filip Schleicher i t. d. Na dalszych stronicach swej książki zalicza do bliskich sobie d-ra Stanisława Kota, gen. Wład. Sikorskiego, Wincentego Rzymowskiego i w. in.

Lwowscy przyjaciele dr. Janika tworzyli — jak wiemy — grupę zdecydowanie antyrosyjską, a proaustriacką. Nie może więc specjalnie nikogo dziwić, że między grupą demokratów postępowych, mocno pomieszanych z żydami i niemal stale kollaborujących z socjalistami, a ówczesnym obozem narodowym, reprezentowanym głównie przez stronnictwo demokratyczno-narodowe, trwała walka, ostra w formach.

Jedną taką scenę tak dr. Janik opisuje:

„W życiu moim rok 1905 upamiętnił się jednak przedewszystkim wybuchem rewolucji w Rosji. Ferment ogarnął także cały zabór rosyjski, zwłaszcza środowiska robotnicze t. zw. Kongresówki. Galicja wsłuchiwała się z zapartym oddechem w dochodzące stamtąd odgłosy. Grupa polityczna patriotów demokratycznych, do których należałem, przyjmowała żywo wiadomości „z za kordonu" i oddziaływała odpowiednio na opinię publiczną. Hipolit Śliwiński i ja, lubo nie należeliśmy do obozu socjalistycznego, byliśmy szczególniej czynni, ponieważ znaleźliśmy się najprędzej w kontakcie z głosicielami rewolucji socjalnej, która miała ogarnąć wszystkie ziemie caratu i uwolnić zabór rosyjski od opieki rządu zaborczego, a zatym zdobyć dla tego zaboru pełną autonomię narodową, co byłoby wielkim krokiem naprzód na drodze do odzyskania niepodległości dla całej Polski.

„Dążenia rewolucyjne, ogarniające tę część opinii polskiej, która skłaniała się do podtrzymywania i potęgowania wrzenia wolnościowego w zaborze rosyjskim, spotkały się z reakcją obozu narodowego Kongresówki. Reakcja antyrewolucyjna ujawniła się nawet w Galicji w osobach nasłanych tutaj z Kongresówki emisariuszy narodowej demokracji: Zygmunta Wasilewskiego i Stanisława Grabskiego. Może przyszły historyk potrafi kiedyś wybadać, czy narodowa demokracja nie była wtedy pod pewnym względem zakonspirowaną ekspozyturą rządu rosyjskiego. Bez

względu na wynik tego badania, jedno można było stwierdzić już współcześnie. Narodowa demokracja pałała tępą wtedy nienawiścią do wszelkiej myśli demokratyczno-postępowej. Jak niegdyś Ustawa Trzeciomajowa spotkała się ze zbrojnym sprzeciwem uprzywilejowanych wielbicieli Katarzyny, tak teraz na powiew rewolucyjny w caracie zareagowała natychmiast tępota wszelkiego rodzaju trójlojalistów, zatrwożonych o stan posiadania swoich przywilejów społecznych".

W dalszym ciągu dr. Janik opowiada, jak we Lwowie pod patronatem organizacji narodowo-demokratycznej i „stojącego pod jej komendą" „Sokoła" urządzono w ratuszu wiec. Śliwiński zgłosił rezolucję „że należy skorzystać z zamętu w Rosji i dążyć do wywołania zbrojnej rewolucji w zaborze rosyjskim. Wywołało to zaciekły odruch wśród nar. demokratów — zwłaszcza Bolesław Mańkowski, radaktor „Muzeum" i zajadły nar. demokrata, zaatakował bardzo gwałtownie Śliwińskiego i zaczął rozwodzić się nad robotą masońską i pour le roi de Prusse. Po dłuższych debatach uchwalono rezolucję, piętnującą myśl polskiej rewolucji zbrojnej lub wszczynania zorganizowanych niepokojów w zaborze rosyjskim. Wtedy z kąta sali krzyknąłem głośno: „grabarze". Wszczął się zgiełk, usiłowano znieważyć mię czynnie". „W r. 1909 stanąłem jako publicysta na jednym z najbardziej naczelnych miejsc frontu antyrosyjskiego i utrzymałem się na nim zwycięsko aż do wybuchu wojny światowej".

Dr. Janik opisuje sceny z przed lat 30. Wtedy wolno mu było mylić się i — żądać przyznania mu dobrej woli. Ale powtarzać te „mądrości rewolucyjne" po latach 30 i chełpić się nimi, a ani jednym słowem nie uderzyć się w piersi — to dowód całkowity braku zmysłu krytycznego. A dodawanie już dziś suggestii, że narodowa demokracjm mogła być wtedy pod pewnym względem zakonspirowaną agenturą rządu rosyjskiego, jest dowodem aberracji umysłu w stopniu niebezpiecznym. Autor tego potwornego w swej ohydzie podejrzenia nawet nie czuje, że podobne twierdzenia odbijają się i biją i dyskwalifikują—oszczercę.

Nie jest to jedyny ustęp książki na tym poziomie moralnym. W czasie wojny kolportowaną była po kraju broszura wręcz ohydna pod tytułem „Pod sąd". Było to wołanie o szubienicę austriacką dla Grabskiego, Skarbka, Cieńskiego, Surzyckiego, Strońskiego, Biegi, Wierczaka i innych działaczy narodowych, a poddanych austriackich.

Na str. 107—108 dr. Janik, redagujący wówczas w Dąbrowie Górniczej za pieniądze N. K. N. dziennik „Gazeta Polska", tak o tej broszurze pisze:

„W samych początkach mojej pracy redaktorskiej nadesłano mi pierwszorzędnej wartości informacyjnej broszurę p. t. „Pod sąd! Historia Legionu Wschodniego", bezimiennego autora, datowaną w Sosnowcu, dnia 16 października 1914. Poznałem okropną prawdę w jej przerażających szczegółach. Dla oceny treści broszury i zarazem ciężkiego a słusznego oskarżenia, skierowanego w niej przeciwko moskalofilskim matactwom narodowej demokracji, przytaczam dla pamięci potomnych ostatnie zdania nieubłaganego werdyktu:

„Pod sąd z tymi politykami, którzy Targowicy śladami „dla obrony Rzeczypospolitej" z Moskwą weszli w konszachty, jawnie jej swe służby ofiarując w Warszawie, o przypuszczenie do łaski carskiej żebrząc we Lwowie, potajemnie dla cara Wszechrosji pracując w Mszanie, a nawet w Krakowie! Pod sąd z tymi politykami, którzy w ratuszu krakowskim dnia 16 sierpnia, udając patriotów, we Lwowie obmyślili a na drodze ze Lwowa do Mszany zadali społeczeństwu cios skrytobójczy, sprawili klęskę, jakiej mu jeszcze moskale nie zadali, na zatratę wydając kilka tysięcy zapalonej młodzieży, kwiat społeczeństwa polskiego w Galicji Wschodniej, jego przyszłość i nadzieję.

„W obliczu kroczących na Warszawę strzelców Piłsudskiego, w obliczu wszystkich ofiar, które ponosimy i ponosić będziemy dla narodowej sprawy — pod sąd Polski Powstającej powołujemy panów Cieńskiego, hr. Skarbka i ich współpracowników jako winnych zbrodni stanu względem Narodu Polskiego".

Nie zdziwi więc nikogo fakt, że proklamację obu cesarzy państw centralnych z 5 listopada 1916 r. dr. Janik przyjął z olbrzymim entuzjazmem.

„Po powrocie do Dąbrowy Górniczej przeżyłem niezadługo radosny dzień 5 listopada 1916 r., proklamowania Niepodległego Państwa Polskiego. Napisałem artykuł.

W artykule p. t. „Otom zmartwychwstanie i żywot" dr. Janik pisał:

„Dwaj potężni monarchowie i dziedzice starodawnych narodów i ich przyjaciele wybrani zostali przez Boga, ażeby przyjście Jej (Polski) obwieścić zdumionym oczom całego świata".

Na tym stanowisku wytrwał dr. Janik nie tylko do końca wojny, ale do dziś. Cała książka dowodzi, że dr. Janik do dziś uważa linię polityczną swoją i swoich przyjaciół za jedynie patriotyczną i niepodległościową. Ani jednego słowa— samokrytyki, przyznania się do pomyłki, skruchy wobec przeciwników. Wręcz przeciwnie— w książce czytamy ostre słowa potępienia dla Piłsudskiego i jego towarzyszy za rozwiązanie legionów i założenie P.O.W.

„Podtrzymywałem tem uporczywiej konieczność obrony całości legionów przed usiłowanym rozbiciem. Wystąpiłem z nową ofenzywą".

Samopoczucie miał dr. Janik zawsze dobre. Oto dwie próbki:

„Pamiętam jeszcze z odwiedzin Krakowa (1910) charakterystyczną dyskusję przy jednym stole w kawiarni Janikowskiego. Zasiedli razem: Tadeusz Rutowski, Hipolit Śliwiński, Roman Dmowski, dr. Ernest Adam, dr. Roger Battaglia, Bolesław Wysłouch, Michał Lityński, Bronisław Laskownicki, dr. Tadeusz Dwernicki, dr. Władysław Stesłowicz — i może ktoś jeszcze, kogo już nie pamiętam. Grupa nasza polityczna atakowała mocno tendencje reakcyjne i rusofilskie narodowej demokracji. W dyskusji tej uczestniczyłem bardzo czynnie i atakowałem przeciwników z dużą swadą i ironicznym dowcipem. Roman Dmowski, nie mogąc znaleźć należytych kontrargumentów i czując się rozbrojonym, odezwał się mimo to z tupetem:

— Ale to musicie, panowie, nam przyznać, że daliśmy wam zrozumienie trójzaborowej wszechpolskości.

Dmowski czuł się rozbrojonym i pokonanym przez d-ra Janika...

A oto drugi przykład:

Dr. Janik był w swoim przekonaniu kandydatem urodzonym na — ministra oświaty.

Książkę „Dzieje Polaków na Syberii" złożył na ręce pułk. Bolesławicza z dedykacją dla marsz. Piłsudskiego.

„Pojawiła się u mnie wtedy myśl następująca: — Może wreszcie przypomni sobie moją pracę i zasługi i powoła mnie na urząd ministra oświaty, na którym potrafię być pożyteczny dobru publicznemu.

„Marian (Bolesławicz) nieraz mówił o tem, że powinienem mieć widoki otrzymania tego urzędu".

W ocenie zamachu majowego dr. Janik nie mógł zająć innego stanowiska, jak zajął.

„Ostrzeżenie moje, ażeby skończyć raz wreszcie z zakonspirowanymi machinacjami narodowych demokratów, wypowiedziane do Sławka i Świtalskiego, stawało się coraz bardziej aktualne. Gdy prowokacyjne demoralizowanie społeczeństwa przez mafię endecką nie ustawało, nie mogła nie zacząć się gotować do zamachu stanu zakonspirowana z dawna grupa Piłsudczyków oparta o ludzi zaufanych w P.P.S. i Wyzwoleniu. Cieszyłem się głośno z tego, co się stało.

— I cóż dobrego widzi pan w tym buncie?— zapytał mię wtedy prof. dr. Adam Krzyżanowski.

— Nastąpi wewnętrzne wyzdrowienie i upadek zbrodniczych metod endecji — odpowiedziałem z całym przekonaniem.

Pewnego popołudnia gruchnęła wiadomość, że gen. Sosnkowski popełnił samobójstwo, ponieważ niechciał iść w buncie za Piłsudskim.

Pamiętam doskonale, że do naszego stolika kawiarnianego podszedł wtedy prof. Władysław Folkierski, po tym obożny Wielkiej Polski, i odezwał się prawie dosłownie.

— Cóż pan kruszy tak wytrwale kopie za Piłsudskim, gdy najbliższy nawet jego towarzysz Sosnkowski popełnił samobójstwo, nie mogąc się zgodzić na postępowanie Piłsudskiego?

— Panie profesorze! To nieprawda! Czyż pan nie wie, że Sosnkowski został ugodzony kulą rewolwerową przez zakapturzonego oficera endeckiego?

Bezpośrednio po rozmówce z Folkierskim wpadłem na Bolesława Pochmarskiego, porwałem za sobą, odciągnąłem na stronę i szepnąłem.

— Bolciu, pędź co prędzej po kawiarniach i rozgłaszaj, że endecy zastrzelili Sosnkowskiego. Na informacje endeków dywersja taka jest nakazem chwili".

A oto na zakończenie ostatni już cytat:

„Gdy po kilku latach ludzie reżimu Piłsudskiego zawiesili mię gwałtownie w urzędowaniu, inż Karol Rolle, prezydent Krakowa, odezwał się do mnie z odcieniem bolesnej ironii:

— Niech się pan teraz tak cieszy, jak się pan cieszył podczas przewrotu majowego. Został pan wynagrodzony...

„Wynagrodzony", ale — nie wyleczony.

Dr. Janik pozostał dotąd wrogiem obozu narodowego, głęboko przekonanym, iż to on, niepodległościowiec i patriota demokratyczny, był właściwym reprezentantem myśli narodowej, która Polskę doprowadziła do zjednoczenia i niepodległości. Z nienawiści do demokracji narodowej nie wyleczył się — bodaj nawet leczyć się nie próbował.

Na plus dra Janika zapisać trzeba, iż doszedł do konfliktu i z obozem pomajowym. Na uznanie zasługują wszystkie jego próby pogodzenia się nie tylko z kościołem katolickim, ale i z duchowieństwem. Ciekawe są listy biskupa tarnowskiego ks. Wałęgi do dra Janika, mniej zajmujące są własne jego dysertacje religijne.

Na minus zapisać trzeba fakt napisania „spowiedzi niepodległościowca" (tak brzmi podtytuł książki) u schyłku życia i powtórzenia w niej wszystkich, jakże często niedorzecznych, sądów, oskarżeń i podejrzeń.

Są dwie grupy pamiętnikarzy. Pierwsi dzień po dniu spisują swoje wspomnienia. Do takich należy tak bliski drowi Janikowi i ze względu na wspólny front polityczny i ze względu na nienawiść do narodowej demokracji, dr Jan Hupka. Drudzy — piszą swoją „spowiedź" po wielu latach. Spowiedź rzetelna nie może się obejść bez przyznania do winy, bez skruchy, bez zadośćuczynienia. Pierwszym wybacza się błędy i winy. Do drugich krytyka musi stosować inną miarę. Piszą z rozmysłem, gdy już mogą ocenić skutki swojej i swoich przeciwników działalności.

Dr. Janik należy do tej drugiej kategorii: książka jego nie jest jednak spowiedzią, jest raczej jeszcze jedną, a jakże niewczesną i spóźnioną, próbą oskarżeń. Jest dowodem nieuleczalnego maniactwa.

Jedynym usprawiedliwieniem może być fakt: takich od urodzenia chorych na „endekofobię" jest w obozie sanacyjnym i lewicowym więcej. Niektórym otworzyły się oczy — jakże wiele ostatnie lat 25 mogły ich nauczyć — niektórzy zostaną ślepymi do końca.

Dr Michał Janik jest typowym przykładem takich nieuleczalnych endekofobów.

STANISŁAW RYMAR

GŁĄBIŃSKI O LEGIONIE WSCHODNIM

Z ISTNEJ kopalni faktów historycznych, tyczących byłego zaboru austriackiego, mianowicie ze świeżo wydanych wspomnień czcigodnego prof. Stanisława Głąbińskiego, pozwalamy na razie sobie podać w streszczeniu przebieg sprawy t. zw. Legionu Wschodniego z r. 1914.

Zaraz po wypowiedzeniu przez Austrię wojny Serbii, na wniosek Stanisława Głąbińskiego Rada Narodowa we Lwowie pod przewodnictwem swego prezesa Tadeusza Cieńskiego, który świeżo powrócił ze swej podróży z Ameryki — dokąd się był udał, celem porozumienia się z tamtejszymi Polakami, co do ich postępowania wobec grożącej wojny — utworzyła Centralny Komitet Narodowy, do którego wchodziły następujące stronnictwa: Autonomiści, Centrum, Narodowa Demokracja, Stronnictwo Ludowe, oraz przedstawiciele Polaków z Bukowiny i Śląska Cieszyńskiego; ponadto należała tam młodzież narodowa, Sokół, Drużyny

Bartoszowe i Drużyny Strzeleckie lwowskiej młodzieży niepodległościowej. Celem tego komitetu było utworzenie Wojska Polskiego, mającego walczyć o niepodległość Polski przy pomocy Austrii.

Celem porozumienia się z rządem austriackim Stanisław Głąbiński wyjechał do Wiednia i tu w dniu 2.VIII.1914 r. otrzymał audiencję u ministra spraw zagranicznych, Berchtolda.

Hr. Berchtold powitał go zapytaniem, jak idzie sprawa wywołania powstania w Królestwie; Stanisław Głąbiński okazał zdziwienie, że mógł znaleźć się ktoś, kto by mógł taką rzecz przyrzec (co twierdził hr. Berhtold) i ze swej strony oświadczył, że przyjeżdża tylko jako przedstawiciel Polaków z pod zaboru austriackiego, którzy gotowi są utworzyć silną armię, spółdziałajacą z armiami mocarstw centralnych pod warunkiem, iż otrzymają ze strony obu tych mocarstw zapewnienie utworzenia niepodległej Polski na wypadek zwycięstwa tychże (str. 196). Celem bowiem Polaków jest utworzenie niepodległej i wolnej Polski.

Hr. Berchtold, jak można było się spodziewać, odpowiedział, że tego rodzaju gwarancji on sam dać nie może bez zgody sojusznika, t. j. Niemiec.

Tu właśnie leżał cały szkopuł. Narodowcy, jak Stanisław Głąbiński, Tadeusz Cieński, Aleksander Skarbek i t. d., nie ufali Austrii, czy nawet i przy dobrej woli, będzie mogła coś dla Polski uczynić, gdyż było rzeczą jasną, że na wypadek zwycięstwa ze strony mocarstw centralnych, panem sytuacji będą Niemcy i te będą dyktowały warunki pokoju i urządzały obszary wydarte Rosji... a z pewnością celem ich nie będzie wielka i wolna Polska... Dlatego też żądano od obu mocarstw gwarancji oficjalnej, jakie mają zamiary wobec Polski — by żołnierze armii polskiej wiedzieli, że walczą za wolność Polski, a nie za cudzą sprawę...

Po audiencji u hr. Berchtolda udał się St. Głąbiński do szefa sztabu głównego Conrada von Hötzendorfa; ten już nie wspominał o powstaniu w Królestwie, a tylko mówił, iż formacje wojskowe są potrzebne armii austriackiej do robienia wywiadów na tyłach wojsk rosyjskich, co Polakom łatwo będzie czynić... Wojska polskiego jako takiego nie potrzebuje, gdyż można wszystkich tych ludzi przecież wziąć do armii austriackiej...

Po powrocie Głąbińskiego do Lwowa Centralny Komitet wydał odezwę w dniu 6.VIII.1914 r. w której zaznaczył, że „Polacy spełnią swój obowiązek wobec dynastii i Państwa", ale zastrzegł, że „więcej niż to, co obowiązek nakazuje spełnić, może i pragnie naród spełnić, jeżeli zrodzi się w nim przekonanie, że niezawisłość państwowa stanie się udziałem i innych ziem polskich".

Rozpoczęła się żywa praca, co do organizacji wojska polskiego. Organizacje bojowe, jak: Drużyny Bartoszowe, Drużyny Strzeleckie, Związki byłych Powstańców przystąpiły do Komitetu; utworzono skarb wojskowy, do którego płynęły ofiary w gotowiźnie, klejnotach i innych przedmiotach wartościowych. Postanowiono też porozumieć się z Lewicową Komisją Tymczasową Stronnictw Niepodległościowych, będącą pod kierunkiem J. Piłsudskiego. Wysłany w tym celu do Krakowa Stanisław Grabski powrócił z niczym, gdyż Piłsudski gotów był jedynie „rozpatrzyć ewentualną prośbę Komitetu o przyjęcie go do Komisji Tymczasowej" (str. 199).

Niebawem przeciw Centralnemu Komitetowi rozpoczęła się walka z jednej strony od grup konserwatywno-liberalnych, które uważały, że jedyną instytucją powołaną do reprezentowania Polaków jest Wiedeńskie Koło Polskie — z drugiej strony — od wyżej wspomnianej Lewicowej Komisji Tymczasowej, która ogłosiła, iż w Warszawie utworzył się Rząd Narodowy, który oddał władzę w ręce Piłsudskiego, jako dyktatora i wszyscy mają się jemu poddać... Sam Piłsudski potem przyznał w swych poprawkach historycznych, iż ten Rząd Narodowy był fikcją (str. 208).

Ostatecznie doszło między wszystkimi kierunkami do ugody i tak powstał N.K.N., który miał jednak reprezentować tylko Polaków z zaboru austriackiego; podzielony był na sekcje: wschodnią pod przewodnictwem Tadeusza Cieńskiego, do której weszli dawni członkowie Centr. Komitetu, oraz zachodnią, do której wstąpił sam autor pamiętników St. Głąbiński.

Zaczęto organizować dwa legiony: wschodni i zachodni; nadeszła tymczasem fałszywa wiadomość o zwycięstwie oddziału Piłsudskiego pod Miechowem, na wiadomość o czym młodzież lwowska zaczęłą się palić z niecierpliwości, by iść też bić wroga...

Ale narodowcom, należącym do N.K.N., chodziło, by to wojsko było naprawdę polskie, by przysięgło, że będzie się bić za Polskę, a nie walczyć z jednym wrogiem i przelewać krew, by z tego miał korzyść drugi wróg.

Konserwatyści, jak Hupka, (co widać z jego pamiętników), Jaworski, Bobrzyński i socjaliści jak Daszyński ufali Austrii bezwzględnie, a dowodem tego była intryga, której dopuścił się prezes Koła Polskiego, Juliusz Leo, w stosunku do St. Głąbińskiego.

Legiony zostały przez rząd austriacki zaliczone do pospolitego ruszenia. Legion Zachodni, będący pod wpływem konserwatystów i socjalistów, złożył bez oporu przysięgę wedle formuły austriackiego pospolitego ruszenia; Legion Wschodni, złożony z elementów bardziej uświadomionych i patriotycznych, żądał, by w przysiędze była wyraźna wzmianka o Polsce.

W tym celu odbyła się u ministra Obrony Krajowej, Georgi'ego konferencja, przy udziale prezydium Koła Polskiego i N.K.N. (pierwsze dni września 1914 r.). Minister Georgi zgodził się na dodanie do formuły przysięgi tych słów: „Nadto przysięgam walczyć o niezawisłość Polski do ostatniej kropli krwi". Jednak następnie oświadczył, że ten dodatek musi mieć aprobatę Naczelnej Komendy w Przemyślu. W tym celu St. Głąbiński wraz z Juljuszem Leem, gotował się w drogę do Przemyśla (Lwów był już w ręku Rosjan). „Leo nie mógł się na razie zdecydować, kiedy pojedziemy do Przemyśla w tej sprawie, a gdy po dwu dniach o to wzywałem, oświadczył mi, że był już sam w Przemyślu, ale spotkał się z odmową, Było dla mnie jasną rzeczą, że panowie ci nie chcą owego dodatku, na jaki zgodził się minister Obrony Krajowej, że Leo wcale nie jeździł do Przemyśla" (str. 220).

Panowie konserwatyści w N.K.N. szli, jak z tego widać, ślepo na pasku Austrii i tak jej ufali, że nawet nie chcieli się „targować" o przysięgę dla wojska polskiego... Że się na tej wierze poparzyli, okazało się w niespełna 4 lata po tym... w pokoju brzeskim.

Głąbiński po otrzymaniu tej wiadomości od Lea wyjechał do Krakowa, gdzie odbył konferencję z Tadeuszem Cieńskim i Aleksandrem Skarbkiem. Następnie zawiadomiono oficerów Legionu Wschodniego, iż wobec tego, że nie otrzymano żadnego ustępstwa w sprawie przysięgi, pozostawia im się dobrą wolę, czy chcą zostać w Legionie — który właściwie miał się stać oddziałem pospolitego ruszenia austriackiego — czy wystąpić. Znaczna większość Legionu, na tę wiadomość, gdyż około 5.000 członków, uchwaliła rozwiązać Legion Wschodni... mniejszość postanowiła zostać i wstąpiła następnie do Legionu Zachodniego.

Tak został rozbity Legion Wschodni. Głąbiński, jakkolwiek sam należał do zwolenników rozwiązania, nie potępia tych, którzy pozostali, gdyż pragnęli oni służyć „sprawie polskiej nawet w tak niepomyślnych warunkach" (str. 221).

Nie tak jednak zachowali się wrogowie polityczni Głąbińskiego, Cieńskiego i Skarbka. W wyżej już wspomnianej broszurze „Pod Sąd", uznano sprawców rozwiązania Legionu Wschodniego za „zdrajców i moskalofilów". Tadeusz Cieński został na parę lat internowany, a gdy żądał zawiadomienia go za co, otrzymał odpowiedź, iż za to, „że nic dobrego nie zrobił dla Austrii"... Al. Skarbek musiał wyjechać do Szwajcarii. Nie można by się ostatecznie dziwić Austrii, gdyż ci ludzie udaremnili powstanie oddziału ochotniczego, który miał wzmocnić wojsko austriackie... dla państwa austriackiego była w istocie szkodliwa ta działalność patriotów polskich, którzy przejrzeli chytre plany austriackie i nie dali się wziąć na lep fikcyjnych obietnic, jak konserwatywni i lewicowi członkowie N.K.N.-u.

Ale skąd ta nienawiść i zajadłość ze strony Polaków... którzy, jak Daszyński, domagali się od rządu austriackiego najstraszniejszych represyj na „zdrajców"... a do dziś dnia jeszcze zarzucają „endekom", że umieją tylko judzić, jątrzyć, bróździć, burzyć, a nie są zdolni do czynu... jest to ordynarne oszczerstwo. Dzieje sierpnia 1914 okazały, że Narodowa Demokracja w Centralnym Komitecie Narodowym, jeszcze przed dniem 6.VIII, zaczęła organizować wojsko polskie—a że ta formacja została następnie rozwiązana, było to tylko dlatego, iż narodowcy chcieli, by to wojsko naprawdę było polskie i składało przysięgę, że walczy o Polskę, a nie o obcą sprawę... Dziś jednak żydowscy i nieżydowscy wrogowie idei narodowej, licząc widocznie na krótką pamięć społeczeństwa polskiego, starają się szerzyć tę nieprawdziwą opinię, jedni świadomie, a drudzy przez nieświadomość powtarzają tę nieprawdę, czyniąc nieświadomie robotę żydomasonerii...

A przecież sam najgorętszy zwolennik N.K.N. i J. Piłsudskiego, a zajadły wróg Str. Narodowego, Jan Hupka wyraźnie wspomina, że J. Piłsudski przez swych emisariuszy starał się przeszkodzić werbunkowi w Królestwie. (Pamiętniki d-ra Hupki str. 110, 121, 125 i 142). Piłsudski bowiem też nie chciał iść na pasku Austrii, jego Pierwsza Brygada przekroczyła granicę Królestwa samodzielnie; rząd austriacki był z tego niezadowolony i dlatego oddał Naczelną komendę nad Legionem Zachodnim Durskiemu. Piłsudski, przez dłuższy czas ze swym Legionem nie chciał złożyć przysięgi pospolitego ruszenia austriackiego, aż dopiero skutkiem ciężkiego stanu swej Brygady przystąpił do Legionu Zachodniego, lecz był przeciwny i to całkiem słusznie werbowaniu ochotników w Królestwie, by składali przysięgę austriacką

WŁADYSŁAW WIELOWIEYSKI

FRYDERYK CHOPIN

QUASI UNA FANTASIA (Ciąg dalszy)

ROMANTYZM przesunął się przez Europę w końcu XVIII wieku i w pierwszej połowie XIX wieku, gdzie nie gdzie trochę wcześniej, gdzie nie gdzie trochę później, jak cień od wielkiej chmury o nierównych brzegach.

Romantyzm znajduje się na granicy dobra i zła, na granicy dawnej Europy i dzisiejszej Europy i jest w tem miejscu, kiedy szlachta upadła ostatecznie, to znaczy politycznie, to znaczy wtedy, kiedy upadek moralny szlachty był już tak wielki, że aż doszło do upadku politycznego, to znaczy do gilotyny, (względnie do rozbiorów Polski) i kiedy zarzucono barwne stroje szlacheckie, a kiedy zaczęto wkładać czarne ubrania cywilne. Romantyzm jest pomiędzy dawną Europą barwną i dzisiejszą Europą bezbarwną i można powiedzieć, że romantyzm jest to Europa czarna. Czarność jest to też bezbarwność, ale jak gdyby niezupełna. Czarność jest to bezbarwność, bezświetlność i nicość, ale dla człowieka, który ma oczy i który zamknął oczy i który patrzy w zamknięte powieki, a jeśli i wydarto mu oczy, to chociaż jeszcze nerwy wzrokowe sterczą w jego pustych oczodołach. Ale jeśli człowiekowi wyrwać i nerwy wzrokowe i jeśli jeszcze poczekać aż zapomni, że przedtem widział, to wówczas będzie on naprawdę ślepy i wówczas naprawdę nie będzie widział ani nawet czarności, ani bezświetlności, ani nicości, ani nawet czarnej e l i p s y i nie będzie widział ani czarnej elipsy nawet w jasne południe i nie będzie widział jeśli nawet twarz podniesie tak, żeby padały na nią promienie słońca. Człowiek taki będzie naprawdę ślepy i naprawdę nic nie będzie widział ani czarności, ani bezświetlności, ani nicości, ani czarnej elipsy, tak jak i my nie widzimy naprzykład ręką, albo nogą, albo jakąkolwiekbądź inną częścią ciała, w której nigdy nie było nerwów wzrokowych. I oto romantyzm, jak już napisano, jest pomiędzy dawną, dobrą i barwną Europą, a dzisiejszą Europą złą i bezbarwną i romantyzm jest to przejście od barwności do bezbarwności i jest to czas czarności, czyli jest to czas bezbarwności połowicznej, albo ślepoty połowicznej. Dopóki człowiek po wydarciu oczu nie zapomniał jeszcze wrażeń wzrokowych, to nie jest jeszcze zupełnie ślepy, bo widzi jeszcze chociażby czarność, albo w i d z i chociażby to, że nic nie widzi i oto romantyzm jest to czas, kiedy dobro skończyło się, ale skończyło się niezupełnie, bo ludzie wówczas jeszcze odczuwali, że niema dobra, że jest źle, a to jest też dobro. I oto dlatego Europa w romantyźmie jest pełna smutku, roz-

paczy i rozczarowania i jest zniechęcona do ciepła, słońca i życia, a lubuje się w zimnej poświacie księżyca, w ciemnych tonach nocnych, w głębokich cieniach, w upiorach, w czarnych strojach, we łzach, w suchotach, w suchotniczej bladości. Romantyzm nastąpił po upadku szlachty i dlatego Europa w romantyźmie nie wierzy w kulturę pańską i szlachecką i dlatego zwraca się do ludowości. A ponieważ po upadku szlachty wszystko dezorganizuje się i ludzie stają się nieznośną tłuszczą, więc romantyzm zaczyna czcić i apoteozować indywidualizm. A ponieważ nowi władcy nie mają powagi i są to parwenjusze o typie jakgdyby podoficera, jak naprzykład Fryderyk pruski, albo o typie osób z półświatka, jak naprzykład Katarzyna petersburska, więc i wszelki porządek ustalony obecnie nie ma powagi, państwo robi się antypatyczne i zaczyna ciążyć, a Europa zaczyna zachwalać i czynić bohaterami swoich poezji romantycznych tych ludzi, co wywracają prawa, to znaczy rozmaitych rozbójników lądowych i morskich. I naogół sympatję Europy do Napoleona, który wywracał państwa, też można chyba wytłumaczyć tem samem, czyli niechęcią jej do państw ówczesnych i tak samo niechęcią Europy do państw ówczesnych tłumaczy się fabrykowanie rozmaitych mniej, lub więcej naiwnych fantazji i utopji socjalnych, które rozpoczyna się, jak wiadomo, na większą skalę od czasów romantyzmu.

Romantyzm leży na granicy dawnej Europy i dzisiejszej Europy, to znaczy na granicy dobra i zła i dlatego w romantyźmie są dobre rzeczy i złe. Jeśliby świat nie był skażony, to nie można byłoby usprawiedliwić romantyzmu, czyli usposobienia do łez i do żałoby, bo wówczas prawidłowa byłaby tylko radość. Ale ponieważ świat nie jest taki, jaki powinien być, więc pozwolone jest trochę płakać. Zresztą, jeśli już człowiek płacze, to to pokazuje, że świat nie jest doskonały, a jeśli świat nie jest doskonały, to to pokazuje, że pozwolone jest trochę płakać. I epoka romantyzmu pokazała, że świat nie jest doskonały i w romantyźmie zaczęto płakać i nosić żałobę. Ale nie jest dobrze zadużo płakać. Płacz jest to taka rzecz, która pozwolona jest człowiekowi dlatego, że sam ją bierze, że płacze. I płacz jest to taka rzecz, która pozwolona jest człowiekowi w małej ilości. A o romantyźmie można powiedzieć, że romantyzm dobry jest na tyle, na ile pozwolone jest człowiekowi płakać.

Można romantyzm, który przypada na czas upadku szlachty i na czas unieruchomienia ciała, ocenić jeszcze tak i powiedzieć: romantyzm jest w pewnej mierze dobry, bo w pewnej mierze człowiekowi pozwolone jest pracować duszą i rozumem bez poruszania ciałem. Przedtem w artykule tym zostało napisane, że człowiek nie może pracować albo tylko rozumem, albo tylko ciałem, lecz że człowiek musi pracować i rozumem i ciałem, atoli teraz pisze się, że w pewnej mierze pozwolone jest człowiekowi pracować duszą i rozumem bez poruszania ciałem. Te dwie prawdy są prawdziwe, choć są sprzeczne sobie i są one oparte na dwuch innych prawdach, które też są sprzeczne sobie, a które też są prawdziwe, a mianowicie: dusza jest związana z ciałem i dusza jest niezależna od ciała. Dusza jest straszliwie związana z ciałem, straszliwie przywiązana do zachceń cielesnych, jak przyschnięty bandaż do rany i dusza jest wolna od ciała, bo dusza gardzi i brzydzi się ciałem i niema takiego grzesznika, któryby nie wzdrygał się i nie wstydził się po spełnieniu grzechu. I oto ponieważ dusza jest i związana z ciałem, więc prawdą jest, co przedtem było napisane, a mianowicie, że nie wolno jest człowiekowi pracować tylko duszą i rozumem bez poruszania ciałem, a oto ponieważ dusza jest wolna od ciała i od zachceń cielesnych, bo mimo wszystko dusza ciałem brzydzi się, więc prawdą jest, co pisze się teraz, a mianowicie, że pozwolone jest człowiekowi pracować duszą i rozumem bez poruszania ciałem. I dawniej, w dobrej Europie też byli tacy ludzie, co pracowali tylko duszą i rozumem bez poruszania ciałem, ale dawniej panowie i rycerstwo odbierali ich wytwory według swego gustu, a ponieważ panowie walczyli białą bronią, więc mieli szlachetność i cnotliwość i do tej szlachetności dostosowywały się wytwory ludzi pracujących tulko duszą bez poruszania ciałem. Zresztą dawniej główna praca duszy bez poruszania ciałem odbywała się w zakonach, a to w wielkim stopniu usprawiedliwiało tę pracę, bo od zakonników wymaga się, żeby byli wolni od zachceń cielesnych. I oto romantyzm jest to czas, kiedy wraz ze zlikwidowaniem szlachty cała Europa, nietylko Europa klasztorna, zaczęła pracować duszą bez poruszania ciałem i zaczął wytwarzać się niegodziwy typ inteligenta, typ pracownika, wyrobnika intelektualnego. Jednak ponieważ, tak jak napisano, wolno jest trochę pracować duszą bez poruszania ciałem, więc w pewnej mierze romantyzm jest dobry. Nietylko zakonnikowi, ale i człowiekowi świeckiemu, to znaczy człowiekowi, który nie zanadto powściąga zachcenia cielesne, wolno jest trochę pracować duszą bez poruszania ciałem, ale pod warunkiem, że człowiek ten przedtem pracował duszą z poruszaniem ciała i że nabrał dzięki temu jakgdyby na zapas realizmu i poczucia prawdy i zasłużył dzięki temu na prawo do pracowania w sposób niebezpieczny, czyli pracowania duszą bez poruszania ciałem. I oto romantyzm jest w pewnej mierze dobry, bo w pewnej mierze zapracowały na niego, czyli na pracowanie duszą bez poruszania ciałem, pokolenia poprzednie, zapracowały pracując duszą z poruszaniem ciała, to znaczy przelewając krew na rozmaitych polach bitwy, przelewając krew cudzą i własną.

I jeszcze tak można pokazać, że romantyzm jest poniekąd dobry, a mianowicie zwracając uwagę na to, że na chwilę i czarny kolor jest to też jakgdyby kolor i że jeśli czarny kolor przychodzi po barwnych wspaniałościach, to kolor ten jest piękny i głęboki, jak kolor czarnego aksamitu i chociaż jest to nicość, wydaje się, że jest to kolor żywy i pełny treści.

Jeszcze można dodać, że romantyzm jest to epoka twarzy. Aleć przecie romantyzm jest to unieruchomienie i pognębienie ciała, a twarz jest to przecież część ciała, więc dlaczego mówi się teraz, że romantyzm jest to epoka twarzy? Dlatego mówi się tak, że twarz jest to nietylko część ciała, ale jest to też coś innego. Bo twarz jest to jakgdyby zastrugana część ciała i dzięki temu prześwieca się w tem miejscu, to co nazywa się, dusza, człowiek i t. d. Twarz może być traktowana i jako część ciała i taka jest twarz w rzeźbie greckiej. Zresztą, kto wie, może w każdej rzeźbie, lub w każdym wizerunku człowieka, jak-

kolwiek wykonanym, jeśli wyobraża się nagie ciało, nie powinna być twarz traktowana inaczej, jak tylko jako część ciała, to znaczy tylko jako parapet okna, tylko jako okno, przez które nikt nie wygląda. Bo powierzchnia ciała ma wielką siłę i po zrzuceniu ubrania twarz gaśnie, gaśnie jak latarnia morska o świcie. „Jeśli kochankowie zrzucają ubranie, przestają całować się, a odwrotnie, jeśli ciało zostanie okryte, chociażby prowizorycznie, chociażby prześcieradłem, to ochota do całowania się wraca i tem wyraźniej, im lepiej jest okryte ciało i im wyżej aż pod brodę jest podciągnięte prześcieradło" — jeśli obserwacja ta (zresztą dość nieskromna) wypowiedziana, zdaje się, gdzieś przez jakiegoś powieściopisarza byłaby trafna, to potwierdziłaby to, co mówi się tutaj, a mianowicie, że powierzchnia ciała ma wielką siłę i że przy obnażeniu ciała twarz robi się zimna i bez wyrazu jak jakakolwiek inna część ciała. I oto określenie romantyzmu jako epoki twarzy nietylko nie jest sprzeczne z poprzednio ustaloną prawdą, że romantyzm jest to epoka unieruchomionego ciała, lecz nawet z tej prawdy wynika, bo twarz i ciało są to rzeczy poniekąd antagonistyczne i unieruchomienie i pognębienie ciała musi powodować wzmożenie twarzy. I lubowanie się w romantyźmie suchotniczą bladością twarzy i czarnemi strojami może być rozumiane też jako lubowanie się w twarzy i w jej wzmożeniu przez kontrast. Trzeba jeszcze dodać, że w romantyźmie noszono szerokie płaszcze i ubrania, a nie obcisłe trykoty i że tem też, nietylko czarnością stroju, wzmagano twarz, tłumiąc widzialność ciała, które ginęło zupełnie w szerokich fałdach ubrania.

Ale przy zakończeniu rozważań o romantyźmie trzeba jeszcze powtórzyć, że w romantyźmie są dobre i złe rzeczy. Bo granica dobra i zła biegnie przez romantyzm. Można powiedzieć, że wczesny romantyzm jest dobry, a późny romantyzm jest zły i że to w romantyźmie, co jest dobre, należy do dawnej Europy, a to, co jest złe, do dzisiejszej. Ale naogół romantyzm jest dobry na tyle, na ile pozwolone jest płakać i rozpaczać, na ile płacz nie znikczemnia człowieka. Romantyzm jest to pogrzeb Europy, ale jest to jeszcze Europa bo pogrzeb i śpiew na pogrzebie jest z myślą o nieboszczyku i dlatego jest upodobniony do nieboszczyka i do jego szlachetności, romantyzm jest to owoc dawnej Europy i szlachetności, jest to, ostatnie dzieło Europy, jest to dzieło Europy pośmiertne.

(C. d. n.) LEON MACIAŃSKI

POWIEŚĆ O GRZECHU

Dotychczasowe nasze pojęcie o Dygasińskim — pisarzu i artyście było jakże cząstkowe i niepełne. Dopiero teraz, czytając kolejno jego utwory, poznajemy jakby na nowo a z podziwem szerokie zainteresowania społeczne, troskę moralisty, głębię psychologiczną w twórczości wielkiego Kielczanina.

Prawdziwym „odkryciem" staje się w tym sensie lektura „Gorzałki"[1]), wydanej poraz pierwszy w formacie książkowym (odbitki z „Przeglądu Tygodniowego") w r. 1894. Jest to nietylko studium gorzelnictwa, destylatorstwa, szynkarstwa i społecznych skutków spożycia alkoholu, — oparte na sumiennie zebranych materiałach. Autor znacznie przekroczył granicę, jaka się narzucała monografiście jednej z najżywotniejszych gałęzi przemysłu krajowego.

Zwłaszcza w owym okresie pozytywistycznej „trzeźwości" i zahypnotyzowania „krajową wytwórczością" (mniejsza już nawet zresztą, czy w polskich rękach się znajdującą) łatwo było ulec powszechnemu prądowi i nic nie dojrzeć poza procesami gospodarczymi, istotnymi dla przemysłu i rolnictwa. Są to przecież czasy, kiedy „*homo oeconomicus*" staje się pojęciem uznanym, mającym kurs powszechny.

Ten system etyki kapitalistycznej nie jest w stanie uwieść Dygasińskiego. Zdziera on maskę obłudy z oblicza działaczy spirytusowych i „społeczników" z gatunku takich Koperkiewiczów, deklamujących o solidaryzmie i dobru publicznym, a spekulujących na grzechu pijaństwa.

Z oczu autora ani na chwilę nie ginie człowiek, choć uwikłany w najbardziej skomplikowane procesy ekonomiczne. Produkcja gorzałki, pożyteczna dla rolnictwa i przemysłu, jest zgubna z punktu widzenia zdrowia i moralności społecznej.

Nie wolno się łudzić w tym względzie. Tę prawdę ukazuje nam autor w sposób nader jaskrawy.

Dzisiejszy nasz. podtrzymywany t. zw. racją państwową, „pijany budżet" ma dawne tradycje, sięgające w epokę chylenia się i upadku Rzeczypospolitej („...bił chłopów pałką, poił gorzałką..."). Szlachta polska ciągnęła kolosalne zyski z gorzelnictwa, o konsumcję nie potrzebowała się troszczyć, bo chłop musiał pić i kupować gorzałkę w karczmie swego dziedzica. Jak to wpływało nietylko na zdrowie całych pokoleń, ale i na ich obyczajowość, skutecznie neutralizując wpływ kościoła, niech świadczy fakt, że w wielu miejscowościach do dziś żyje tradycja, iż oto w danym punkcie wsi, zazwyczaj wprost kościoła, wznosiła się karczma, zwana także popularnie „ogiernią".

Jest jakaś potworność „moralna" w sprzeczności między zyskami ciągnionymi z gorzałki, matki wszelakich zbrodni i dziedzicznego zwyrodnienia, a wydatkami na opiekę społeczną, szkolnictwo i higienę. Obydwie pozycje mieszczą się w budżecie współczesnego państwa: każda po innej stronie, — nie niepokojąc sumienia „Ojców Ojczyzny", dbałych o swe dziatki.

Taki Strumski bogaci się na gorzelnictwie. Przy nim żyje rzesza ludzi, zatrudnionych w przemyśle wódczanym. Podnosi się okoliczne rolnictwo, dzięki wzmożonej produkcji kartofli, z których pędzi się spirytus. Także zyskuje hodowla bydła, dzięki doskonałej paszy z t. zw. wywarów. Prócz fabrykanta bogacą się pośrednicy, agenci oraz kupcy hurtowi i detaliści — szynkarze.

Ci wszyscy spekulują i dorabiają się na ludzkiej słabości, przechodzącej w namiętność, stopniowo zmieniającej się w nałóg, który już trzyma

[1]) Adolf Dygasiński. Gorzałka. Powieść, 4 t. W-wa—Inst. Wyd. „Biblioteka Polska". Str. 355 i 283. (Pisma Adolfa Dygasińskiego, pierwsze wyd. zbior. w oprac. Wł. Wolerta, t. 20 i 21), 1939 r.

w swych sidłach aż do zgonu. Do kieszeni tych producentów i handlarzy... okazją do grzechu i skrajnego upadku i zbydlęcenia, przechodzą z żelazną konsekwencją dostatki uwiedzionych przez demona gorzałki. Za skradzione na tej „legalnej" drodze pieniądze potomkowie „królów alkoholu" mają dostęp do najwyższych dzieł ducha ludzkiego, nauki i sztuki, mają szanse, by stać się moralistami i apostołami.

Tak wygląda mechanika samego procesu społecznego.

A więc, produkcja gorzałki sama w sobie jest niemoralna, jako źródło zasadniczego grzechu pijaństwa i jego następstw oraz produktu wtórnego — grzechów sąsiadujących z pijaństwem.

Podobnie się rzecz przedstawia z punktu widzenia konsumenta ognistego trunku. Dopieroż atmosfera wewnątrz świata producentów alkoholu także nie pachnie... Choć nie są to zazwyczaj alkoholicy, często może i nie kosztują własnego produktu (znają zjadliwość wytwarzanej trucizny), przecież jako ludzie bez skrupułów wobec społeczeństwa, pozostają takimi i między sobą, w stosunkach osobistych i handlowych. Nie w innym świetle ukazał ich autor „Gorzałki".

Liczna jest w twórczości Dygasińskiego, nietylko w „Gorzałce", galeria pijaków — ludzi zwichniętych, wytrąconych z normalnego biegu życia przez nadużycie i nałóg, w sumie będące pogwałceniem niezłomnych praw natury.

Ksawcio Strumski („Gorzałka"), zdeklasowany przez alkoholizm i strącony na dno upadku, mający na swym sumieniu uwiedzenie i porzucenie młodej, niewinnej dziewczyny, wreszcie kradzieże lub współudział w nich. Człowiek z lepszą przeszłością i sporym wykształceniem teoretycznym, cynizmem zagłuszający ból sponiewieranej duszy. Skrajny wypadek chorobowy nałogowego pijaństwa, graniczący z zupełnym zezwierzęceniem. Niedaleko od niego stoi stoi, typowy dla niektórych okolic, pijak wioskowy, stary Maciek Kociuba *(cit)*. Przypomina nam się w tej chwili dla kompanii Jach Bombiński (Bracia Tatary), który podobnie jak i Ksawery Strumski na śmierć się zapił.

Pijakiem i to nałogowym jest stary Maruda, majster gorzelniczy w Grodowicach u Walerego Strumskiego, brata nieszczęśliwego Ksawcia. Tym nadużyciem trunków należy tłumaczyć jego porywczą skłonność do awantur, powodującą usunięcie z zajmowanego stanowiska przez zniecierpliwionych zwierzchników. Zamroczenie alkoholowe dyktuje Marudzie straszną pomstę — podpalenie gorzelni.

Ów rys jest symptomatyczny dla natury wsiowego pijaka. Znam konkretny wypadek, gdzie chłop pewien, wyrzucony za awantury robione w stanie nietrzeźwym z chaty, w której się odbywało wesele, podpalił natychmiast przez zemstę cały budynek. I tak, wódka staje się źródłem nietylko nieszczęść i niepomyślności osobistych, ale i zbrodni.

Prócz otwartych i nie wstydzących się swej słabości, bywają i pijacy — hipokryci, tacy, co to cichcem „do poduszki" pociągają z butelczyny, często dla świata ochrzczonej jakoś inaczej, jakąś leczniczą etykietką, „walerianą" lub czymś podobnym (kościelny Mateusz z „Gorzałki" i szafarz Kasper Zdrojewski z „Zająca": pierwszy kryje się ze swą niewstrzemięźliwością przed „dobrodziejem", drugi przed dziedzicem).

Znamy i pijusów tęgich, o krok bliskich fatalnego nałogu, tracących na dnie flakona i butli zdrowie, siły lub majątek. Będzie to pan Jędrzej Piszczalski z powieści o takimże tytule i godny jego kompan i p r a e c e p t o r imć Horda — Drakiewicz. Dla dopełnienia galerii wystarczy jeszcze wspomieć takiego zwycięzcę w pijackich konkursach, jakim był atletyczny szlagon Mateusz Kropla („Piszczalski").

Pokrewnym pijaństwu jest również pogwałcenie prawa natury — grzech obżarstwa. Zresztą wymyślili go ludzie. Zwierzęta nie znają obżarstwa, które zazwyczaj rodzi się z nadmiaru, a nie dla zaspokojenia zwyczajnego głodu. Na obżarstwo choruje chłop Maciek Opozda z noweli „Żerty chłop", ulega mu także w późniejszym swoim okresie Jędrzych Piszczalski.

Dygasiński, filozof natury, pedagog i moralista, bliskim był pojęcia grzechu, pokrywającego się zresztą w dużej mierze u niego z pogwałceniem prawa przyrodzonego, obowiązującego wszystkie stworzenia, żyjące w „Boskiej oborze" — na podsłonecznym świecie. Długa jest na przestrzeni jego twórczości litania tych grzechów i przestępstw, ogromna różnorakość sylwetek i typów mniej lub więcej pochylających się ku upadkowi, niezwykła wprost intuicja psychologiczna pisarza, oparta na wszechstronnej znajomości życia, na pilnej i ustawicznej obserwacji.

Nawiasem już tylko wspomnijmy, że i trzeciemu grzechowi, mającemu swe źródło w pożądliwości ciała, poświęcił autor sporo miejsca i uwagi (nowela „filozof i praczka"—postaci c. k. docenta Szeląga i Marianny; nowela o Klawiszewskim i Rózi—postać upadłej pokojówki; w „Piszczalskim" kreowana z panny służebnej na niewolnicę — utrzymankę — Łusia.

Te są ludzkie słabości, jak i kłamstwo np., zademonstrowanie na przykładzie „rotmistrza" Piszczalskiego, których „prywatności" nikt zapewne nie zechciałby kwestionować. Istnieją jednak winy jawne, przestępstwa przeciw prawu, są ludzie pozostający w otwartym konflikcie z całym społeczeństwem, w sile swej szukający usprawiedliwienia dla własnych postępków.

Dygasiński dał w swej twórczości istne album przestępcze, sylwetki najróżniejszych zbrodniarzy. W „Piszczalskim" widzimy bandę rabusiów „przy pracy", podobnie w noweli „W puszczy", gdzie wśród opryszków dostrzegamy nadto żyda Jankla— koniokrada i pośrednika w sprzedaży uprowadzonych wierzchowców. W obydwu razach przestępcy są wyraźnie zindywidualizowani i znakomicie uchwyceni w sobie właściwym charakterze. W „Gorzałce" działa kryminalista Filip Brzost, niegodny brat świątobliwego proboszcza, złodziej, bandyta, szantażysta — wyłudzacz i oszust — hochstapler. Podpalacz (wspomniany powyżej) Maruda dopełnia godnej kompanii.

Jeżeli do tego dodamy osobną kategorię złodziei leśnych i kłusowników (Franek Dętka, stary Siuda — zresztą przypuszczalny morderca — z noweli „Złodziej leśny", Jasiek Tetera z „Zająca") oraz złodziei kur i drobiu (Olfąs — łapikura z „Asa", Drewniak z noweli o nieszczęsnym lisie oswojonym imieniem Pompa), łatwo dostrzeżemy w takim uszeregowaniu pewną metodę. Nie jest to już czysto przypadkowe rzucenie okiem na ten lub inny przedmiot.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

NA WIDOWNI

Wspomnienie o „Słowie Polskim". Epizod z r. 1902.

DANO mi do przeczytania fejleton p. Antoniego Plutyńskiego, zamieszczony w „Kronice Polski i Świata" (28) p. t. „Spadek po Stanisławie Szczepanowskim", sądzono bowiem, że mnie zainteresuje wtrącona tam ubocznie wzmianka o mojej osobie. Artykuł istotnie mnie zainteresował, ponieważ opisuje fakt, mający niemałe znaczenie w historii ruchu narodowego ostatniego półwiecza.

To samo zdarzenie opisywałem według notat w r. 1932 w „Kurierze Lwowskim". Mam więc możność uzupełnienia interesującej opowieści p. Plutyńskiego w tych miejscach, gdzie go zawiodły bądź pamięć, bądź niedostateczny obiektywizm w wyborze informacyj.

Rzecz działa się w zimie 1902 r. między Lwowem a Warszawą, a dotyczyła przejścia wielkiego dziennika „Słowa Polskiego" w drodze dzierżawy (a potem spółki) z rąk spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego w ręce istniejącego już w Warszawie ugrupowania „Demokratyczno - Narodowego".

P. Plutyński odegrał ważną rolę w negocjacjach; z wdzięcznością wspominam też pomoc, jaką okazywał pismu w pierwszych tygodniach po objęciu przezemnie redakcji. Nie może jednak wziąć mi za złe, że go uzupełnię; dla niego był to w życiu krótki epizod, dla mnie — sprawa losu na lat kilkanaście (do r. 1915), najlepszych lat. Przed nim — wówczas kończącym uniwersytet — leżała kariera przemysłowa, ja miałem już sądzone na całe życie dziennikarstwo. Taki moment, o którym mówimy, był dla mnie zbyt ważny, aby mi było obojętne, co kto na moją listę służby publicznej wpisuje i jak wpisuje.

Czytelnik w toku opowiadania spostrzeże, na czym polegają moje uzupełnienia. Tyczyć one będą najpierw tej jedynej wzmianki o mnie, jakobym wszedł w rachubę dopiero w ostatniej chwili pod naciskiem zarządu Ligi Narodowej, ponieważ Popławski wzywał listownie na to stanowisko ś. p. Bolesława Koskowskiego. List Popławskiego do mnie był pisany i on sprawił, że się zdecydowałem na porzucenie Warszawy i objęcie „Słowa Polskiego". Pertraktowano zresztą ze mną w tej sprawie już o rok wcześniej.

— — — — — — — — — — — —

Po zamknięciu „Głosu", w którym pracowałem w latach 1889 — 1892 i 1895 — 1899, w latach następnych 1900—1901 przechodziłem ciężką szkołę dziennikarską w „Kurierze Warszawskim".

W r. 1900 otrzymałem od Ignacego Maciejowskiego (Sewera) długi list[1]) (z 17 grudnia), w którym ten entuzjasta przedstawił mi szeroko ciężkie położenia w jakiem po śmierci Stanisława Szczepanowskiego znalazło się „Słowo Polskie". Pisał ten list w porozumieniu z Wacławem Wolskim, działającym w imieniu spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego i Odrzywolskiego. Maciejowski proponuje mi, żebym przybył do Lwowa i objął kierownictwo „Słowa Polskiego". Mało wiedziałem dotąd o tem piśmie, istniejącym od kwietnia r. 1897; to co pisał o nim Maciejowski bynajmniej nie pociągało mnie ku niemu; wreszcie wydało mi się wtedy czymś grzesznym — dobrowolne opuszczenie Warszawy w tak ciężkich warunkach. Wydało mi się to czymś chimerycznym, abym na swoją rękę bez porozumienia ze stronnictwem, mógł obejmować pismo polityczne w warunkach pracy mi nieznanych. Tak mu też odpisałem. Miałem potem drugi list pełen ubolewania (z 12.I 1901).

Pod koniec r. 1901 znowu wypłynęła sprawa „Słowa Polskiego", ale już w innych warunkach. Propozycja nastąpiła wprost od właścicieli „Słowa Polskiego" spadkobierców Stanisława Szczepanowskiego.

Przybyła mianowicie do Warszawy delegacja w imieniu spadkobierców Szczepanowskiego w osobach p. Zofii Odrzywolskiej i Antoniego Plutyńskiego działającego w imieniu p. Heleny Szczepanowskiej, z propozycją, skierowaną do stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, aby ono utworzyło konsorcjum w celu objęcia „Słowa Polskiego", jako wydawnictwa i redakcji. Stawiano za warunek, że w imieniu tego konsorcjum ja przyjadę do Lwowa i będę redaktorem. W tym duchu gorąco mnie do tego namawiając, napisał do mnie Popławski w liście, przez Plutyńskiego mi doręczonym.

Właściwie rzecz podległa decyzji Ligi Narodowej. Gorliwie zajął się nią komisarz ówczesny Ligi na zabór rosyjski, adwokat Józef Kamiński. Chodziło o zebranie pokaźnej sumy kilkunastu tysięcy rubli na zapłacenie najpilniejszych długów „Słowa Polskiego" tytułem tenuty dzierżawnej. Miała to bowiem być dzierżawa.

Żeby omówić rzecz na miejscu z naszymi lwowianami wybrałem się do Lwowa — była to już zima 1902 — bez paszportu narazie. Jechałem na Ojców, skąd przepustki dostarczył Karol Waligórski, wracałem na Katowice. W końcu lutego już z paszportem i ostateczną decyzją wyjechałem powtórnie do Lwowa w towarzystwie adwokata W. Krypskiego, który wiózł pieniądze i załatwić miał stronę prawną.

Więc i ja znalazłem się we Lwowie do kompletu dawnej redakcji „Głosu", aby zacisnąć jeszcze jeden węzeł między Lwowem a Warszawą.

Tegoż dnia po moim przybyciu do Lwowa wieczorem ś. p. Wacław Wolski, mając już pewność, że dzierżawa do skutku dojdzie, urządził zebranie redakcyjne w „Słowie Polskim", gdzie w imieniu wydawców sprawę zmian, mających się dokonać w redakcji, przedstawił. Okazało się, że dawni redaktorzy, Romanowicz i Rutowski, o gotującym się przewrocie dawno już wiedzieli i na to się przygotowali. Odpowiedzieli Wolskiemu, że dotychczasowa redakcja w komplecie, solidarnie tegoż wieczoru się usuwa i przechodzi do

[1]) List ten znajduje się w zbiorach Biblioteki Narodowej. Sytuacja, w której znaleźli się właściciele, widocznie bardzo interesowała Sewera (Maciejowskiego), w ogłoszonej bowiem wtedy powieści „Ponad siły" (Ateneum, grudzień 1900) przedstawia te stosunki drastycznie. Tadeusz w powieści — to Szczepanowski, Władysław — Odrzywolski, Witold Wit — Wolski.

innego dziennika, który się będzie nazywał „Nowe Słowo Polskie”. Romanowicz miał już w tych rzeczach pewne doświadczenie, przed laty bowiem urządził taki sam zamach na „Reformę” Czerwińskiego w Krakowie i z powodzeniem.

Wolski wpadł do mnie do hotelu (mieszkałem w hotelu Europejskim) o 10-tej wieczorem, bardzo zmartwiony, aby mnie o strajku zawiadomić. Nocny numer jeszcze wyjdzie, tak się bowiem zdarzyło, że członek redakcji, Józef Bornstein, nie brał udziału w spisku i zgodził się pozostać, a on był dyżurnym nocnym i nocny numer wydawał. Numer główny schodził z maszyny koło 2-giej po południu.

Położenie było kłopotliwe. Przyszedł mi do głowy Ernest Adam, którego adres znałem. Udałem się do niego na naradę, on jednak zajęty sprawami swej Kasy odmówił pomocy. Postanowiłem się przespać, a rano o 8-mej udałem się do redakcji. Sytuacja była nawet zabawna, nie znałem bowiem drogi na Chorążczyznę, pytałem więc po drodze ludzi, gdzie jest redakcja, którą mam objąć.

Z lokalu redakcyjnego (na parterze Dumu Naftowego) zionęła na mnie pustka. Czułem się obco. Szuflady w biurkach zastałem opustoszone. Jak tu schwytać nerw dnia bieżącego, owego 1 marca 1902, z czego numer skleić?

Pierwsi zjawili się w redakcji ku pomocy p. Helena Szczepanowska i jej przyszły zięć p. Antoni Plutyński [2]). Tego nagliłem aby ściągnął Popławskiego, w każdym razie wydobył od niego artykuł wstępny. Telegramy przyjdą. Odcinki powieściowe są złożone, gotowe są też jakieś kolumny z dodatkiem gospodarczym, zwykle naprzód przygotowanym. Jakoś wybrniemy.

Niemały kłopot okazał się z Popławskim. Ideę objęcia „Słowa Polskiego” popierał w zasadzie, ale gdy przyszło do realizacji, żal mu się zrobiło „Wieku XX”, do którego już się przywiązał. Wydawał ten dzienniczek od roku przy pomocy finansowej Fr. Rawity-Gawrońskiego, mając w redakcji przyjaciela Józefa Hłaskę. Tam też pracował Antoni Plutyński. Rozumiał, że dwóch dzienników wydawać nie będziemy mogli i że trzeba będzie „Wiek XX” zamknąć, a z drugiej strony uląkł się nowego przedsięwzięcia. Wydało mu się, jak mi wyznał, że krok nasz był przedwczesny. „Słowo Polskie” nie będzie miało żadnego oparcia w społeczeństwie rozpolitykowanym, podzielonym na stronnictwa. „Wiek XX” dopiero zaczął torować drogę, zyskując dla naszego kierunku przyjaciół. Wielki dziennik wymaga ogromnej obsługi, czytelnicy dawnego „Słowa Polskiego”, nałożeni są do innego kierunku i t. p. Czułem jednak, że przywiązanie do „Wieku XX” było główną przyczyną pesymizmu Popławskiego. Dmowskiego nie było już we Lwowie. Zajęty w Krakowie „Przeglądem Wszechpolskim” zachowywał się wobec sprawy „Słowa Polskiego” neutralnie, a w tej chwili nawet pewno nie wiedział, jak jest zaawansowana.

Sprzymierzeńcem sprawy stał się Franciszek Rawita-Gawroński, któremu subsydiowanie „Wieku XX” ciążyło. Ponad siły brał na siebie obowiązki ten człowiek dobrej woli. Gawroński po paru dniach wszedł do redakcji „Słowa Polskiego”, jako referent sprawy ruskiej, a po paru tygodniach „Wiek XX” przestał istnieć.

Organizowanie redacji i całego gospodarstwa trwało parę tygodni, połączone z czynnościami prawnymi z powodu przejścia wydawnictwa w nasze ręce w drodze dzierżawy. Powstała „Spółka dzierżawiona Słowa Polskiego” z dyrekcją i zarządem, do którego wchodzili przedstawiciele spadkobierców ś. p. Szczepanowskiego i Odrzynowskiego.

Pierwsza formacja redakcji miała w swej podstawie nas trzech: mnie, Popławskiego i Hłaskę, jakiś czas pracowali Plutyński i Gawroński. Plutyński ściągnął z Zurychu studiującego tam swego kolegę Antoniego Sadzewicza. Ale, jak widzimy, z jednym wyjątkiem Plutyńskiego, byli to wszyscy „obcokrajowcy”, a wśród nich jeden Popławski w stosunkach miejscowych się orientował.

Ograniczam się dzisiaj do powyższego epizodu. Może dalszy ciąg opowiem później. Dodam tylko, że wkrótce rozpoczęła się w łonie spółki wydawniczej kampania odwrotna—przeciw „Waregom” z Warszawy. Stał za nią w ukryciu prof. Szymon Askenazy, wyzyskujący wpływ, jaki zdobył w uniwersytecie na Czytelnię Akademicką.

Zmiany w układzie stosunków politycznych w Galicji spowodowane wkroczeniem „wszechpolaków“, były zbyt dla masonerii groźne — musiała reagować. Dalszy ciąg tej kontrakcji znalazł wyraz w późniejszym „bloku“ stronnictw i NKN-ie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[2]) P. Plutyński przejaskrawia sytuację tego pierwszego numeru, pisząc: „Kiedy trzech młodzieńców wchodziło do „Słowa Polskiego”... Przy pustych biurkach redagowało się w trzech numer”... Należałoby dodać, że w dodatku byłem i ja — czwarty...

WYDAWNICTWO „MYŚLI NARODOWEJ“ uprasza zamożniejszych przyjaciół pisma, aby okazali mu pomoc przez zasilanie „funduszu prasowego“. Potrzeby w tej chwili są znaczne.

Wszystkich czytelników prosimy o rychłe regulowanie przedpłaty i zaległości.

O JĘZYKU POLSKIM W AMERYCE

(Dokończenie)

TRZECIM podręcznikiem języka polskiego jest „*A Practical Polish Grammar*“ opracowany przez mag. Marię Paryską. Nie postawimy i temu podręcznikowi zarzutów poważniejszych co do polszczyzny, która i tu jest poprawna. Natomiast wyjaśnienia gramatyczne są rozłożone nieco nieproporcjonalnie, tak iż w niektórych częściach książki jest ich nieco za wiele naraz w jednej lekcji (przy jednoczesnym braku odpowiedniej ilości przykładów), co ucznia musi niewątpliwie męczyć. Dobór zdań w ćwiczeniach jest niepowiązany i przygodny. Czasem zdarzają się też błędne objaśnienia prawideł gramatycznych (gdy np. spotyka się twierdzenie, że jakoby *ół* w dopełniaczu l. mn. od przyjaciel było końcówką itp.), wobec czego nasuwa się krytykowi zapytanie: czemu autorka nie dała rękopisu swej pracy do przejrzenia komuś znającemu się fachowo na rzeczy? Nie powinna się była kierować fałszywym wstydem, skoro nawet najwięksi uczeni mają ten zwyczaj, że dają rękopisy swe do przejrzenia swym kolegom, którzy taką czy inną rzecz znają lepiej.

Dodane do książki czytanki, zebrane przez p. R. Malacha, też niestety mają charakter przypadkowy i brak im organicznej spoistości. Zdarzają się też i przykre omyłki, jeżeli np. powszechnie znane słowa Mickiewicza o wyrozumiałości dla cudzych błędów p. Malach przypisał jakimś autorkom, o których nikt z historyków literatury nigdy nie słyszał.

Podobnie jak p. Paryska, tak i Siostra Maria Włodzimiera, felicjanka, stara się oprzeć uzasadnienie reguł gramatycznych na podstawie naukowej. Szkoda że i ona nie ustrzegła się w tym względzie od omyłek, a przytem także i od paru usterek językowych, wyraźnie trącących amerykanizmem (np. „Edzio dzwoni dzwon“, zam. Edzio dzwoni dzwonkiem). Swoją książkę „*First Polish Lessons*“ (*De Sales College*, *Detroit*) poświęciła naj znakomitszemu z żyjących dziś badaczy języka polskiego, prof. Uniw. Krakowskiego Kazimierzowi Nitschowi. Ale znów nasuwa się pytanie: czemu nie posłała wpierw prof. Nitschowi samego rękopisu, celem dokonania wielu poprawek, które wyszłyby na korzyść książce? Dodam, że książka jest przeznaczona dla młodszej dziatwy i nie brak jej zalet dydaktycznych.

Pokusa amerykanizmów, wpadnięcia w tok czy naśladownictwo angielszczyzny amerykańskiej, jest istotnie wielka dla Polaka mieszkającego długo w Ameryce; nie brak takich, którzy przez żart, nieświadomość czy niedbalstwo w amerykanizmy takie wpadają. I żywa mowa i pismo nieraz są nimi w mniejszym stopniu tu zabarwione: i to nie od dzisiaj, bo wszak już Sienkiewicz i wcześniejsi od niego pisarze o tym zjawisku wspominają. Od dawnych lat ci, czy inni pisarze polscy (aż po Grzymałę Siedleckiego, Nowaczyńskiego i Rostworowskiego), pisząc o Polonii amerykańskiej nie jednokrotnie świadomie wprowadzali próbki tej odrębnej gwary dla nadania swym utworom „kolorytu lokalnego“. Jest takich pisarzy poczet niemały i nie wszystkie nazwiska czy tytuły wyczerpał p. Artur Waldo w swej pionierskiej broszurze „Literatura polska w Stanach Zjednoczonych“, gdzie raczej zawarł na razie bibliografię przedmiotu z pierwszą próbą jej podziału. W „Bibliotece Pisarzy Polonii“ p. Waldo, prócz wielu innych swych książek, ogłosił ponadto jedną rzecz, która się odnosi specjalnie do spraw języka polskiego w Ameryce. Jest to wesoła 4-aktowa komedia p. t. „Zamerykanizowani“ (nakł. Dziennika Zjednoczenia), przedstawiająca szereg nieporozumień płynących wskutek używania różnych amerykanizmów przez Polaków jadących z Ameryki do Polski, którzy w czasie owej podróży musieli np. „zostawiać trunki na dypie“ (kufry na dworcu) i co gorsza, „stać w łajnie“ (line — szereg, kolejka), zanim „tykiet“ (bilet) zakupili.

Całą książkę „Językowi polskiemu w Stanach Zjednoczonych“ (nakł. Towarzystwa Naukowego w Warszawie) poświęcił wybitny językoznawca, dr Witold Doroszewski, prof. gramatyki polskiej w Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego. Krótkość czasu i pośpiech druku nie pozwoliły autorowi korzystać z wielu materiałów, zwłaszcza dawniejszych, znajdujących się w obfitości w Bibliotece Rapperswylskiej w Warszawie. Korzystał więc z tego, co znalazł pod ręką z bieżącej prasy polskiej w Ameryce, z niektórych książek i artykułów, jakie były mu w jego warunkach dostępne, natomiast nie sięgał prawie do starszych roczników pism polsko-amerykańskich; w stosunkowo też szczupłym i dość jednostronnym zakresie danem mu było korzystać z bezpośredniego zetknięcia się z żywą mową Polaków amerykańskich w tak najróżnorodniejszych jej odmianach, boć przecież inaczej polszczyzna amerykańska brzmiała lat temu sześćdziesiąt i siedemdziesiąt, inaczej teraz; inaczej mówią przybysze ze „Starego kraju“, inaczej trzecia i czwarta generacja; inaczej ci, którzy tylko z chaty rodzinnej znajomość polszczyzny wynieśli, inaczej ci, którzy weszli do świata „inteligencji“, albo nauczyli się polszczyzny dzięki książkom lub przelotnemu pobytowi w Polsce, także i polszczyzna w „Bufli“ lub „Czykagowie“ różni się od tej, którą się słyszy w „Milwałce“ lub „Hantramiku“. Słowem, polski język, jaki się spotyka w różnych stronach i różnych warstwach społecznych w Ameryce, to zagadnienie bardzo złożone, na które składała się cała długa, kilkudziesięcioletnia conajmniej historia Polonii. Wobec tego książki prof. Doroszewskiego nie można uważać za jakieś dzieło wyczerpujące: jest to raczej tylko prowizoryczny szkic, wstępna praca do dzieła, do którego wykonania trzeba by lat kilku, a przede wrzystkim bliższego spółżycia z Polonią, dobrej znajomości jej życia i dziejów. I myślę, że języka polskiego w Ameryce nie można sądzić tylko po zdarzających się w nim rzadziej czy częściej, wpływach fonetyki czy fleksji angielskiej, czy zapożyczeniach z języka angielskiego; należy pamiętać i o tym, co polszczyzna amerykańska czerpie i kontynuuje z polszczyzny rdzennej, „starokrajskiej“, choćby nawet po putramentowsku biblijnej (dzięki kazaniom słuchanym w kościele). Jakże mnie to miło uderzało przy każdych wspominkach zmarłych czy zapowiedziach, gdy ksiądz tu nazywa: „kawalera“ młodzieńcem, a mężatka nosi przepiękne miano: niewiasta... I trochę się dziwię, że uszły uwagi prof. Doro-

szewskiego tak charakterystyczne nazwy parafii polsko-amerykańskich: Cyrylowo, Trójcowo, Niepokalanowo, Młodziankowo, Kantowo, ba nawet: C ęstochowo, nadmienię, że ks. Kłos w swej (też przeoczonej) ciekawej książce „Na drugą półkulę", dużo pisał o tych i innych jeszcze podobnych charakterystycznych cechach języka polskiego w Ameryce. Są one chyba bardziej znamienne i częstsze niż jakieś sporadyczne „duować" (porabiać, *to do*), z którym nietylko mnie, ale nawet wielu ludziom mieszkającym całe lata w Ameryce nie zdarzyło się spotkać ani razu.

Nie chcę bynajmniej przez te kilka uwag krytycznych ujmować wartości książce prof. Doroszewskiego, która w granicach jej zakreślonych jest i cenna i pożyteczna. Zaletą jej jest jasny podział tematu i naukowe traktowanie materiału, jaki autorowi udało się zebrać. W sprawach fonetycznych autor jest specjalistą, więc odróżnia i klasyfikuje umiejętnie bardzo liczne szczegóły, któreby uszły uwagi niejednego z innych ludzi zajmujących się sprawami języka polskiego w Ameryce. Nie ma więc u niego pod tym względem takich niedokładności, jakie zdarzają się tu i ówdzie w czterech wspomnianych podręcznikach, gdzie np. twierdzi się, że polskie — ch — wymawia się tak samo jak w języku niemieckim, lub ze polskie —e— odpowiada angielskiemu —a— w „bad" czy „ass", lub wymaga się wymawiania końcowego —b w wyrazie „chleb", gdy naprawdę w polszczyźnie końcowe —b wymawia się bezdźwięcznie, jako —p.

Ale dajmy spokój drobnostkom. Wolę w zakończeniu niniejszego przeglądu wyrazić wielkie uznanie wszystkim (z wyjątkiem Sssymanka i Manassewicza) autorom tu wspomnianym, iż w trudzie niemałym, wśród wielkich przeszkód i niedogodności, torują polszczyźnie w Ameryce nadal coraz jaśniejsze jej szlaki, wytknięte jej kiedyś przez czytanki Dyniewicza czy przez „Orędownik językowy" ks. B. Górala. A gdy szlakami tymi mowa polska będzie iść dalej i coraz wyżej, wtedy będzie można w Ameryce śpiewać słowa spoczywającego na ziemi amerykańskiej (Winnona, Minnesota) wielkiego poety Kaszubskiego i wielkiego Polaka, redaktora „Wiarusa", Jarosza Derdowskiego:

> Polska mowo, polska wiaro
> nigda nie zadzinie!

Wierzę, że Polacy amerykańscy nie dadzą pogrześć mowy. W tym względzie podzielam optymistyczną wiarę tak dobrego znawcy spraw Polonii, jakim jest prof. Dyboski, który w swej znakomitej książce o Stanach Zjednoczonych, a następnie w niedawno wydanej swej broszurce, wyraża przekonanie, że młodej generacji polskiej przypada wielkie dzieło do spełnienia na polach kulturalnych dzięki pierwiastkom wyniesionym przez jej ojców z Polski.

Czy ta mowa polska w Ameryce zdobędzie się na wielkie dzieła literackie, jak to przewiduje p. Waldo? Nie wiem. Ale dobrą myślą napełnia mnie miła antologia poezji polsko-amerykańskiej (nakł. Pol. Związku Nar. Chicago) oraz pamięć o tym, że tu właśnie, na ziemi amerykańskiej wielkość swą odczuł Henryk Sienkiewicz.

JÓZEF BIRNKENMAJER

WOJCIECH KORFANTY

OKOLICZNOŚCI, wśród których zmarł ś. p. Wojciech Korfanty, sprawiły, że kir żałobny stał się szczególnie ciężki. Oto wtedy właśnie, gdy wszystkimi falami powietrza dochodzi nas wołanie o bohaterskim stawianiu czoła najazdowi z zachodu, stolica odsyła na Śląsk zwłoki tego, którego wielką zasługą historyczną stanowi to, że ziemie śląskie zostały dla Polski odzyskane.

Piszący te słowa pamięta dzień 25 czerwca 1903 r., gdy młody Korfanty nie znany jeszcze w Polsce redaktor „Górnoślązaka" wybrany został posłem do parlamentu niemieckiego (z okręgu katowicko-zaborskiego). Wielki to był triumf młodego, poczętego w Warszawie ruchu narodowego. Korfanty pierwszy wystąpił publicznie na terenie wyborczym Śląska z programem nie lokalnym, lecz „wszechpolskim" — i trafił do duszy śląskiej. Pierwszym też był posłem polskim w Berlinie ze Śląska. Pod tą dobrą wróżbą przystąpić mieliśmy niebawem do wyborów w Galicji, aby wprowadzić do parlamentu wiedeńskiego Stanisława Głąbińskiego.

Jak się dostał ten posiew ideowy na Śląsk? Gruntowny badacz tego okresu jednoczenia wszechpolskiego Stanisław Kozicki podaje w „Warsz. Dzien. Narodowym" następujące szczegóły na podstawie posiadanych dokumentów:

Wojciech Korfanty, syn robotnika Ślązaka, dzięki sprzyjającym okolicznościom znalazł się na uniwersytecie najprzód w Berlinie, potem we Wrocławiu. W pierwszym z tych miast zetknął się z młodymi ludźmi pochodzącymi z zaboru rosyjskiego, a studiującymi na politechnice w Charlottenburgu (Tadeusz Sułowski, Leon Rudowski, Stefan Natanson itd.). To go zaprowadziło (1898), równocześnie nieomal z Marianem Seydą do Związku Młodzieży Polskiej, a ten fakt zadecydował o dalszym jego życiu.

Znalazł się w ten sposób w gronie tych przedstawicieli młodego pokolenia zaboru pruskiego, którzy politycznie wychowali się na „Przeglądzie Wszechpolskim", a doszedłszy do wieku dojrzałego, rzucili się w wir pracy politycznej. Pierwszym terenem ich działalności była redakcja „Dziennika Berlińskiego", wydawanego w stolicy Niemiec przez Ludwika Wróbla, ojca dzisiejszego działacza Stronnictwa Narodowego w Poznaniu. Na łamach „Dziennika Berlińskiego" odezwał się nowy ton polityczny w zaborze pruskim. Pismo zajmowało się żywo sprawami Górnego Śląska, w nim zjawiły się trzy serie artykułów, które później wyszły w postaci broszur, rozpowszechnionych w wielkiej ilości egzemplarzy na Górnym Śląsku. Dwie wyszły z pod pióra Korfantego: „Baczność, chleb drożeje" i „Precz z Centrum".

Tytuł tej drugiej broszury streszczał hasło, z którym młodzi Ślązacy weszli w życie polityczne.

Pod koniec XIX wieku lud górnośląski był poza życiem politycznym narodu polskiego. Nie

było na Górnym Śląsku ziemiaństwa polskiego, ani mieszczaństwa, ani inteligencji. Był tylko lud polski i wyższe warstwy niemieckie. Lud ten mówił po polsku, modlił się po polsku, czytał po polsku, lecz nie brał świadomego udziału w życiu Polski jako całości. Poczynając od ks. Szczepanka aż do Adama Napieralskiego, działa na Górnym Śląsku szereg ludzi, którzy walczyli o obyczaj polski, wiarę polską i język polski. Na wydawnictwach Miarki i na „Katoliku" nauczyli się Ślązacy czytać i myśleć po polsku. Politycznie wszakże byli katolikami, wybierali posłów, którzy należeli do niemieckiego stronnictwa Centrum.

Grupa młodych Ślązaków studiujących we Wrocławiu, a należeli do niej obok Korfantego Jan Kowalczyk, Konstanty Wolny (późniejszy marszałek Sejmu Śląskiego), ks. Pospiech i inni, postanowiła zorganizować samodzielny ruch narodowy, solidaryzujący się z ruchami analogicznymi w innych dzielnicach. Należą oni do Związku Młodzieży Polskiej, a Korfanty (od r. 1901) i Kowalczyk (od r. 1899) do Ligi Narodowej. Organizują Spółkę wydawniczą i w r. 1902 zaczynają wydawać własne pismo — „Górnoślązaka". W r. 1903 przypadają wybory do parlamentu niemieckiego; w porozumieniu z władzami Ligi Korfanty i Kowalczyk organizują akcję przedwyborczą i stawiają we wszystkich okręgach prócz dwóch, własnych kandydatów. Dochodzi do ostrego konfliktu z „Katolikiem", który obawia się przystąpić do tak radykalnej polityki narodowej, z Polską Partią Socjalistyczną, która idzie z socjalną-demokracją niemiecką, no i—oczywiście—ze wszystkimi stronnictwami niemieckimi, którym pomaga administracja i duchowieństwo. Mimo to wszystko Korfanty zyskuje mandat w okręgu katowicko-zabrskim przy wyborach ściślejszych.

Wybór pierwszego posła, który kandydował jako Polak, staje się symbolem emancypacji ludu śląskiego, oraz powrotu Górnego Śląska do ścisłego związku z Ojczyzną. Po pięciu wiekach separacji od Rzeczypospolitej okazuje się, że Śląsk jest polski, że przywraca go Polsce lud prosty. Temu, co się stało w pierwszych latach wieku XX na Śląsku Górnym, zawdzięczamy, że po wielkiej wojnie, w r. 1919, część Górnego Śląska weszła w skład odbudowanej Polski. Z tymi wypadkami będzie po wieczne czasy związane nazwisko Wojciecha Korfantego.

Tak pisze Kozicki o początkach ruchu polskiego na Śląsku. Dalsze koleje pracy Korfantego są już lepiej znane.

Przy wyborach do parlamentu 1907 r. Polacy zdobyli już 118.000 głosów i 5 mandatów. W dwanaście lat później fakt ten stał się poważnym atutem w ustach Dmowskiego i Paderewskiego w okresie Traktatu Wersalskiego.

Jako poseł i członek Koła Polskiego, Korfanty, doskonały mówca, śmiały, nieustraszony szermierz—bardzo szybko znalazł się w czołowej grupie polskiej reprezentacji poselskiej obok takich postaci, jak Wojciech Trąmpczyński, ks. prałat Stychel, Władysław Seyda. Nie opuszcza okazji demaskowania ucisku pruskiego i bezprawia germanizacyjnego. Sprawa Śląska też co raz bardziej wydobywa się na szersze tory.

Piętnastoletnią działalność Korfantego zakończy historyczna mowa w dniu 28 października 1918 r. Wtedy to w tłum posłów niemieckich w Reichstagu padają te twarde, stanowcze słowa:

> „Żądamy Zjednoczonej Polski z wszystkich trzech zaborów, bezpiecznego dostępu do morza, więc z polskim wybrzeżem, zamieszkałym przez ludność bezwątpienia polską. Żądamy polskich powiatów Górnego Śląska, Wielkiego Księstwa Poznańskiego oraz polskich powiatów Prus Książęcych".

Czyż trzeba przypominać zasługę Korfantego jako Komisarza owego nieszczęsnego plebiscytu, narzuconego nam przez Lloyda Georgea. Było to piekło nad Odrą. Gdyby nie Korfanty, niewiele by Polska zyskała. Tam dopiero zrozumiałem temperament Korfantego. Był to bojownik typu śląskich „pieronów". Woził mnie z sobą na zebrania plebiscytowe. Za każdym wyjazdem zmieniał futro i ubiór głowy, aby go nie rozpoznano. Strzelano bowiem za nim.

Hotel Lomnitz w Bytomiu, gdzie miał swoje biuro, musiał ufortyfikować. Pomimo to ledwo z życiem uszedł podczas masowego napadu Niemców. Paręset tysięcy Niemców sprowadzonych z poza Śląska dało przewagę Germanom, wszakże dzięki wysiłkowi Korfantego zyskaliśmy 480 tysięcy głosów polskich.

Bohaterskie też, wojskowej już czysto natury były wystąpienia Korfantego, gdy w trzech kolejnych powstaniach oczyszczał Śląsk z organizacji niemieckiej.

Mniej już odpowiadała jego temperamentowi regularna praca polityczna w parlamencie polskim i w Rządzie, do którego w r. 1923 za rządów Witosa należał. Energia jego nie była dostatecznie wyzyskana w organizującym się państwie.

Pokolenia w odbudowanej Polsce zbyt wiele miały pracy i trosk, aby je stać było na żywą wdzięczność dla tych, którzy sprawili, że jest nad czem pracować i o co się troszczyć, — że jest wreszcie państwo i jakie takie terytorium. Ale przyjdą lepsze później czasy, gdy w perspektywie przeszłości uwydatni się wyraźniej właściwa miara Korfantego, jako patrona Śląska, wielce dla Polski zasłużonego.

Z. W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z „ZACHĘTY"

WYSTAWA „Pierwsze 40-lecie Zachęty Sztuk Pięknych" to sugestywny pamiętnik Towarzystwa, przenoszący nas o dziesiątki lat wstecz w atmosferę kulturalnego życia Warszawy. Musimy organizatorom wyrazić słowa uznania, gdyż to jedyna od wielu lat wystawa godna szczególnego rozpatrzenia — wystawa oryginał — wszystkie inne bieżące, to jakby odbitki na powielaczu coraz bardziej nieudolne. W tych wystawach „Zachęta" trwa i delektuje się zapomnieniem o rzeczywistości. „Pierwsze czterdziestolecie" to najsilniejsze uderzenie pulsu sztuki polskiej w drugiej połowie XIX wieku, grupujące najwybitniejszych artystów tego czasu. Między nazwiskami wystawiających widzimy (co jest nie do pomyślenia dzisiaj) nowatorów nawet na owe czasy. Dzieje się zwykle tak, że cele, ideały, dążenia, zmieniają się, życie wytwarza postęp i zmienia oblicze wieków. Ludzie o nowym poglądzie i nowych siłach zastępują tych, co dalej iść nie mogą. „Zachęta" uparła się jednak i chociaż murszeje i opada z liści, nie dopuszcza świeżych soków do pnia. Wystawa obecna — to album w pluszowej oprawie z fotografiami tych, którymi trzeba się szczycić, ubranymi po staroświecku. Szkoda, że następne czterdziestolecie będzie już miało tylko godną uwagi oprawę albumu. Szkoda

wreszcie, że Towarzystwo celów swoich nie rozciągnęło na dłuższy czas niźli życie założycieli i że następcy nie podjęli ze zrozumieniem dalszego prowadzenia wystaw „w górę", a nie na równi pochyłej. Trzeba powiedzieć, że dzisiejszą działalność ogólną „Zachęty" możnaby określić jako wręcz szkodliwą. Urabianie bowiem konsumentów sztuki w/g ideałów *fin de siècle*'u, ideałów zjełczałych już dawno w kulturalnych środowiskach — to rzucanie kamieni pod nogi postępującej z trudem sztuce polskiej, nowym porywom — takim dzisiaj, jakim nowym w owych czasach Towarzystwo otwarło podwoje. Nie jest chyba bez znaczenia to, że Gierymski, którym chlubi się „Zachęta", nie znajdował zrozumienia wśród publiczności (jak wielu dzisiejszych nie „Zachętowych") i pisał do siostry: „Wyjechałem z kraju zgorzkniały i przygnębiony, mało mi zostało dla... sympatii, czuję się tam obcym..."

Wystawione płótna Gierymskiego, Podkowińskiego, Fałata, Stanisławskiego, Wyczółkowskiego i Malczewskiego, to właśnie ożywczy prąd, który porwał za sobą co lepszych malarzy. Nazwiska zaś: Matejki, J. Kossaka, Siemiradzkiego, Brandta, Gersona, Chełmońskiego i t. d., przynoszą chlubę Towarzystwu. Ciekawym jest, jak zmarnowały się niektóre talenty, zmanierowane wymaganiami mody i publiczności. Doskonałym przykładem jest Czachórski, świetny w szkicach i obrazach malowanych *alla prima*, a nieznośny w wykończonych. Prócz obrazów wymienionych mistrzów, zwracają uwagę ciekawsze malarzy mniej znanych, jak Hadziewicza „Błogosławieństwo Jakuba", Horowitza „Portret damy w czarnej sukni", A. Wierusz-Kowalskiego „Polowanie *par force*", oba obrazy Kurelli wnoszą świeży powiew, Schouppégo „Pyszna", Szermentowskiego „Pejzaż z Bretanii" itd.

Rzeźba w stylu „Zachęty".

Katalog opracowany nieźle, lecz nie dokładnie, lub też katalog dokładnie, a wystawa niedbale. Szwankuje bowiem numeracja, np. pod numerem 47 zamiast „Powrót z polowania" Fałata — symboliczny pejzaż, bodaj, że Szermentowskiego. Zamiast portretu damy pod nr. 74 — portret brodacza. Pod nr. 55 zamiast Gersona — Brandt. Z drugiej strony jednak istnieją te obrazy gdzieindziej pod właściwymi numerami. Należałoby wydać jeden katalog o jednolitej numeracji.

Druga część wystawy to Siemiradzki w całej pełni prawie. Doskonale, że tak go możemy oglądać. Ważki to pędzel, choć, mimo malowania wielkich obrazów, za wielki talent nie jest uznany. Brak mu potężnego spojrzenia, odpowiedniego do rozmiaru płócien. Doskonały w szkicach niektórych i mniejszych obrazach. Zrozumiemy powyższe uwagi, porównując szkice z wykończonymi kompozycjami. Siła odczucia — nowatorska nawet — zjawisk światła i cienia, tak świetnie trafiona w obrazie „Taniec wśród mieczów", maleje do rozmiarów minimalnych w największych obrazach, wskutek czego nie robią one wrażenia monumentalnych. Dziwi więc, że przebywając stale w Rzymie, choć miał tak blisko Tintorettów, Veronezów, Giorgionów, którzy winni mu być bliscy, nie wziął z nich tego, co dałoby moc obrazom. Siemiradzki, słynny już zaraz po ukończeniu Akademii Petersburskiej, zasłynął i zabłysnął na czas swego życia, kiedy prądy europejskiej sztuki, skostniałe lub zbyt nowatorskie, utorowały mu łatwą drogę do przychylnej krytyki społeczeństwa. Zrozumiały dla wszystkich a jednak świeży, to bardzo wiele dla zdobycia uznania.

Dobrych obrazów na poziomie wielkiej sztuki Siemiradzki nie namalował, ale trącił w te struny, których dźwięk jest już zbliżony do harfy wielkich mistrzów. Bardziej trzeźwe spojrzenie, więcej malarskiego temperamentu, no i przede wszystkim zrozumienie istoty sztuki, oparte na wewnętrznych doznaniach — to są czynniki, których dodatek postawiłby Siemiradzkiego w rzędzie nieśmiertelnych. Nie brak mu przecież ciekawych podejść i zastanawiających nieraz odczuć nastroju, fragmentów czy całego pejzażu — wszystko w małych obrazach — to największy jego dorobek malarski. Gdyby Mistrz zetknął się z Paryżem nie z Rzymem — przypuszczalnie mielibyśmy jednego więcej malarza na miarę europejską. Sztuka Renesansu, czyli największe bogactwo Włoch — nie dla wszystkich jest dobrym pokarmem. Przy tych założeniach wibracji światła i cienia, jakie wniósł do swej sztuki bezpośrednio ze siebie Siemiradzki — w odpowiednim środowisku powstałyby wielkie dzieła. Dzieło rąk wielkiego mistrza nigdy nie imituje natury, nigdy jej nie naśladuje. Artysta podpatruje, przetrawia i interpretuje naturę środkami plastycznymi, które są jego i tylko jego własnością. Im mocniejsza indywidualność tym sposób — w jaki mistrz skonstruuje i urealni swoje wrażenia z natury i cechy własnej duszy — jest bardziej sygestywny i oryginalny, choćby napozór bardzo przypominał naturę. Dzisiejsze wymagania i zrozumienia sztuki są wypływem wychowania przeciętnego widza przez twórców i krytyków lat ubiegłych i o ile publiczność nie umie patrzeć na nowsze poczynania i otaczającą nas naturę, to winni są ci, którzy nie umieli uprzystępnić właściwego zrozumienia wytworów najcelniejszych. Oskar Wilde powiada, że naturę stwarzamy sami i np. słońce zachodzi tak pięknie od czasu, gdy piękny zachód słońca został namalowany. Paradoks, — powiemy — ale nie pozbawiony prawdy. Im więc piękniejsze i lepsze dzieła sztuki wypełniają sale wystaw, tym więcej uroczą staje się otaczająca nas natura. Jak smutnym staje się wobec tego fakt, że uznaje się niektórych twórców za wielkich, choć nie są tego miana godni, a jeszcze smutniejszym, że gros społeczeństwa uznaje „Zachętę" za wyłącznego rzecznika plastyki polskiej.

KAROL DĄBROWSKI

NAUKA I LITERATURA

NOWOŚCI W LITERATURZE TATR

Pierwotnie stałym organem Muzeum Tatrzańskiego im dra T. Chałubińskiego w Zakopanym miał być „Rocznik Podhalański". Pierwszy tom tego „Rocznika" był opracowany jeszcze przed wojną, ale ukazał się dopiero w 1921 r. Niestety, drugiego tomu nie doczekaliśmy się Działalność wydawnicza Muzeum ograniczyła się odtąd do wydawania poszczególnych monografii, których dotychczas ukazało się sześć.

1. Konrad Górski: „Tatry i Podhale w twórczości Jana Kasprowicza". Z portretem poety i zdjęciem domu „na Harendzie".

Kasprowicz dopiero w wieku dojrzałym zetknął się po raz pierwszy z krajobrazem i przyrodą górską. Było to w okresie namiętnej walki poety z Bogiem, w okresie beznadziejnego borykania się, pesymizmu i zwątpienia. Ogrom gór i zgroza wiejąca od nich jeszcze potęgowały ten nastrój. Nawet w chwilach ekstazy, jakie przeżywał pod wrażeniem piękna Tatr przychodziła gorzka refleksja:

„Tak nam duszę rozpiera tężna szczytu ponęta
Tem szaleństwem radości, że zrywamy już pęta,
Co nas łączą z brzemieniem nędz podobnych,
tak wczoraj odczutem...
A od nizin zasłanych pobitemi zbożami,
Po sinawej mgieł fali płynie powiew za nami,
Jakby echo jękliwe i do serca się wkrada wyrzutem".
(„Na szczycie")

Ale właśnie w Tatrach poeta przeżył swe cudowne przemienienie, uświadamiając sobie wreszcie:

„Że tylko życie prawdą jest,
A śmierć jest złudną marą".

Najdoskonalszym wyrazem przełomu, jaki nastąpił w jego duszy jest „Księga Ubogich".

Już nie przeraża artysty przepastny urok poszarpanych turni, bo niema w nich „nic szczególnego".

„Niema tu nic szczególnego...
Bo jakiż cud tu być może,
Gdzie w wieczór na górskich szczytach
Żagwią się ognie boże?"

Teraz już przyroda ukochanych gór przemawia do poety innym językiem:

„Ta jedna licha drzewina —
Nie trzeba dębów tysięcy!
Z szeptem się ku mnie przegina.
„Jest Bóg i czegóż ci więcej?!"

2. Adolf Chybiński: „O muzyce górali podhalańskich".

Książka całkowicie wyczerpana. Egzemplarza recenzyjnego nie otrzymałem.

3. Julian Krzyżanowski: „Pieśniarz krainy kęp i wiecznej nędzy". (Rzecz o Władysławie Orkanie). Z portretem pisarza.

Twórczość Władysława Orkana jest w naszej literaturze „ludowej" zjawiskiem o epokowym znaczeniu. O odrębności tego pisarza zadecydował przede wszystkim fakt podejścia do spraw chłopskich od wewnątrz, gdy wszyscy jego poprzednicy zawsze, tak, czy inaczej „schodzili do ludu", powodowani bądź współczuciem dla chłopskiej doli, bądź też zwabieni odrębnością kulturalną polskiego chłopa. To też Orkan może być słusznie uważany za ojca najnowszej literatury prawdziwie chłopskiej, która w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaczyna drpiero wydobywać się z powijaków.

Prof. Krzyżanowski nazywa Orkana „bałwochwalcą prawdy", wskazując na wręcz protokularną ścisłość autora w odtwarzaniu życia górskich wiosek. To umiłowanie prawdy jest rysem najbardziej charakterystycznym dla całej twórczości Franciszka Smreczyńskiego (prawdziwe nazwisko poety), który już w swej młodzieńczej noweli o Fantazji, Miłości i Prawdzie — tę ostatnią obrał za swą towarzyszkę.

Skłonność Orkana do spostrzegania przede wszystkim momentów smutnych, wyrobiła mu, niesłusznie zresztą, opinię pesymisty. Jego dzieła powojenne (zwłaszcza „Listy ze wsi") dowodzą, że — nie rezygnując ze służenia Prawdzie — potrafi on w pełni ocenić zmiany, które do życia góralskiej wioski wniosła Niepodległość.

4. Teofil Emil Modelski: „Spory o południowe granice diecezji krakowskiej od strony Spisza" (w. XIII — XVIII) z mapką.

Spór biskupów krakowskich z arcybiskupami ostrzychomskimi i kapitułą spiską o kilka parafii nadpopradzkich — spór trwający przez zgórą pięć stuleci posłużył autorowi za punkt wyjścia do ciekawych rozważań nad zagadnieniem granicy polskiej ekspansji z jednej, a węgiersko-słowackiej z drugiej strony. Fakt, że oderwanie właściwego Spisza od Polski za Krzywoustego nie zahamowało rozwoju polskiego osadnictwa w dystrykcie podolinieckim (Podoliniec, Lubowla i Gniazda) nasuwa autorowi myśl, że dystrykt ten wraz z bezludnym wówczas Zamagórzem, stanowi naturalne przedłużenie Sądecczyzny i niesłusznie uważany jest za część Spiszu.

Polska kolonizacja, idąca w górę Popradu i węgierska, zdążająca od Hornadu powinny były stworzyć tu dość wyraźną granicę etnograficzną. Stało się jednak inaczej i to z powodów natury raczej psychologicznej.

Niezwykła serdeczność, cechująca ówczesne stosunki polsko-węgierskie, a wyrażająca się m. in. we wzajemnym nadawaniu dóbr — przez księcia krakowskiego Węgrom i przez króla węgierskiego Polakom — doprowadziła do takiego zatracenia poczucia odrębności państwowej, że król węgierski Władysław IV (1272 — 1290) mógł uważać Polskę jakby za własną ojczyznę (*„regnum Polonise, quod sicut regnum nostrum proprium reputamus..."*)

Granice zatarły się tak dalece, że władca Węgier nadawał, w dobrej wierze, ziemie leżące na terytorium polskim i *vice versa*.

Niestety, żywioł węgierski, bardziej przedsiębiorczy i sprężysty, powoli ale nieustannie wypierał nas z ziem nadpopradzkich, poczem z kolei przystąpił do kolonizowania Zamagórza. Mimo to jeszcze na początku XIV w. (według autora do 1310—11 r.) dystrykt podolnicki należy do Polski. Przeszedł do Węgier prawdopodobnie tytułem wynagrodzenia za popieranie Łokietka w walce z Czechami.

Znacznie ostrzejszy przebieg miała w tym samym czasie walka między biskupem krakowskim, a duchowieństwem węgierskim. Zapoczątkowana już w latach 1235 i 1247, zakończyła się w pierwszym okresie wyrokiem sądu papieskiego w Cieszynie z r. 1332, przyznającym sporne tereny biskupowi krakowskiemu. Wyrok ten jednak nie został wykonany wobec ugodowej polityki Kazimierza Wielkiego, który niedługo potem zasiadł na tronie polskim.

Zwrot dystryktu podolinieckiego i zastaw trzynastu miast spiskich Polsce w 1412 r. nie wpłynęły na losy parafii nadpopradzkich. Dopiero za czasów Zygmunta Wazy, w okresie wzmożonej walki Kościoła z reformacją, biskup krakowski przejął ponownie rząd dusz w dystrykcie, a polscy zakonnicy rozpoczęli ożywioną działalność na terenie 13 grodów.

Pierwszy rozbiór Polski spowodował podział diecezji krakowskiej, ale dystrykt podoliniecki wszedł w skład nowoutworzonej diecezji spiskiej dopiero w 15 lat później.

5. Władysław Semkowicz: „Materiały źródłowe do dziejów osadnictwa Górnej Orawy". Dwa tomy. (Dotychczas ukazał się tylko tom pierwszy — „Dokumenty").

Tę niezmiernie interesującą źródłową pracę omówię po ukazaniu się całości.

6. Jan i Stefan Reychmanowie: „Przemysł wiejski na Podhalu". (Folusz, tartak, młyn, olejarnia, gonciarnia, browar). Z 54 rycinami.

Ta naprawdę benedyktyńska praca dwóch braci (przy czym Jan napisał tekst, a Stefan wykonał pomiary i rysunki), zapoznaje nas gruntownie z resztkami ludowego przemysłu góralskiego.

Sam fakt przetrwania tych nielicznych warsztatów góralskich aż do naszych czasów należy przypisać prawdziwie góralskiemu uporowi, graniczącemu z bohaterstwem. Taki np. folusz w Roztokach jeszcze przed wojną pracował regularnie trzy dni w tygodniu. „Pobierano wówczas dwie szóstki t. j. 40 halerzy od wyrobionej siągi. Po wojnie, pod wpływem fabrycznej konkurencji i ciężkich warunków gospodarczych, dochód znacznie się zmniejszył. Obecnie przez całe lato folusz nie pracuje, w innych porach roku działa raz, rzadko dwa razy w tygodniu. Pobiera się teraz jeden złoty od siągi, a dochód roczny wynosi około stu złotych, ale wobec wysokich podatków i opłat przemysłowych folusz idzie raczej siłą tradycji. Po raz pierwszy w 1932 r. właściciel dopłacił do swego przedsiębiorstwa dwa złote".

Ale folusza nie zamknął.

BOHDAN GĘBARSKI

NA MARGINESIE

W r. 1894 Bismarck w przemówieniu swoim do deputacji Niemców z Prus Zachodnich wypowiedział się w ten sposób:

„Gdańsk dla polskiego państwa, któreby się koncentrowało w Warszawie, jest jeszcze bardziej naglącą potrzebą, aniżeli Poznań. Ten bowiem — tak sobie pomyślą Polacy — im nie ucieknie, bo tam jest ich arcybiskup, ale Gdańsk to jest pierwsze miasto, które przede wszystkim musi państwo warszawskie zająć na wybrzeżu morskim, i nie spocznie, aż tego dokona Jeśli by nas Niemców spotkał pogrom w Europie, to my Niemcy zachodnio-pruscy będziemy w Gdańsku jeszcze bardziej zagrożeni, aniżeli w Poznaniu".

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ“

NA KWARTAŁ III — 1939 r.

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna	zgóry	32 zł.
Półroczna	„ „	17 zł.
Kwartalna	„ „	9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.

WACŁAW SOBIESKI

DZIEJE POLSKI

w 3 tomach

wydanie drugie znacznie powiększone.

Już wyszły z druku wszystkie 3 tomy i są do nabycia w księgarniach i u wydawcy.

Cena za 3 tomy — 18 zł. bez opr.

23 zł. w oprawie.

UWAGA: Przy zakupach bezpośrednich u nakładcy koszt przesyłki obciąża wydawnictwo. PP. Nauczyciele, młodzież szkolna, stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i zrzeszenia pracownicze bezpośrednio u nakładcy płacą 16 zł. i 21 zł.

Adres: Warszawa, Wydawnictwo „ZORZA“

Al. Jerozolimska 17. P.K.O. 501.

Nowość! Nowość!

ADAM WIERNY

NA SZLAKACH DZIEJOWYCH ROMANA DMOWSKIEGO

(Popularny wykład dziejów ostatniego 50-lecia)

I. U świtu. II. Ostatni paroksyzm (1905). III. Dni grozy — dni zwycięstwa (wojna). IV. Polska wojna (1920). V. Na piastowskim szlaku. VI. Nowe czasy.

STRON 136 CENA ZŁ. 3

Skład główny w księgarni:

PRABUCKIEGO — Warszawa, Miodowa 1

NOWA KSIĄŻKA

prof. Romana Rybarskiego

„Idee przewodnie Gospodarstwa Polski“

ZAWIERA NASTĘPUJĄCE ROZDZIAŁY:

I. Polska na tle koniunktury światowej. II. Źródła nowych kapitałów. III. Finansowanie produkcji i robót publicznych w Polsce. IV. Nakręcanie koniunktury, inwestycje i zbrojenia. V. Produktywizacja gospodarstwa narodowego. VI. Wolność i przymus; planowanie w gospodarstwie. VII. Korporacjonizm i kapitalizm państwowy; następstwa etatyzmu. VIII. Polska psychika gospodarcza

Do nabycia w Administracji „Myśli Narodowej“ po niższej cenie dla jej prenumeratorów: dla miejscowych po 5 zł 50 gr. dla zamiejscowych, łącznie z kosztem przesyłki pocztowej po 6 zł.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.